Nr. 8. Lwów, dnia 10. sierpnia 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

MORITURI.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Wiadomości o łosiu w dziejach. — Łoś w historyi łowiectwa polskiego. — Przyczyny zatraty. — Zwierzostany łosia na ziemiach naszych w chwili obecnej. — Łoś w Rossyi — w Niemczech — na półwyspie Skandynawskim. — Orignal amerykański.

„Ślad się zatarł w ciemnym boru,
Kędy stąpał łoś lub żubr...“

Rozświetliły się i uszczuplały bory — i coraz to rzadziej dolatują dalekie echa wspaniałych łowów. „*Morituri*“ wypisują i łosiom koleje czasów. „Byliście!“ — powtórzą niezadługo dzieje — i „Amen“ zawtórują pokolenia ludzi, gdy po arenie wspaniałej a dzikiej przeszłości przesunie się dobry geniusz, wiodąc naród coraz to dalej w dziedziny szlachetnych pragnień nowożytnej ludzkości.

W chwili obecnej, gdy w rzeczywistości nie zatarły się jeszcze wytłoki tego zwierza w niektórych kątach ziem naszych, gdy jeszcze z odległych ostępów brzmi poważna muzyka wspaniałych łowów — żal duszę myśliwską ogarnia mimowoli, myśl cofa się w ubiegłe czasy, czepia się kart dziejów i nitek tradycyi i przeżuwa epizody przeszłości.

Wojenną niby wrzawą brzmią moczarowate puszcze i ciemne ostępy — skomlenie i gra ogarów, dźwięki rogów, chrzęst zbroi, trzask i łomot obrotów olbrzyma lasów — wszystko to w jeden potężny łączy się akord — z pomroku dziejów wydobyte tony biją po strunach duszy myśliwskiej, gotując jedną przelotną chwilę ułudy, niby przedsmak Walhali, która kiedyś otworzy nam swe wrota u kresów tej ziemskiej wędrówki.

Wśród zwierząt puszczy, które jako epigony zapadłych geologicznych wieków przemykają stadami knieje tego paska ziemi, na którym historya zdybuje sadyby naszych praojców, niemałą rolę odgrywa łoś. Wszędzie go było dosyć w Sarmackiej równinie. Wspólnie z innym potężnym zwierzem, z żubrem, turem i w. i. wyzywał on do wielkich zapasów, ważnym był aktorem w tym bohaterskim dramacie, jaki się wiekami odgrywał na wielkiej scenie rodzinnego łowiectwa. „*Terra polona ipsa frigida et glacialis* — pisał w XVI. w. cudzoziemiec — *habet omnis generis cornuta animalia*“. (Kosmografia Seb. Münster L. III. p. 887. M. D. L.).

Niby to jeleń pod względem zoologicznym, ale co najmniej podobny do tego typu, któremu powaby i piękne kształty włożyły koronę króla lasów, z którego oka uszczęśliwienie przyrody przebija i czyni go przedmiotem romantycznych zachwytów poezyi... Nie, łoś takim nie jest, nie jest ideałem w rzeczywistości i co najmniej pięknym nie może być nazwany.

Zwierz to jeleniowaty, ale dość gnuśny w swych ruchach, wydający w biegu racicami łoskot i kłapanie, co wcale nie licuje z ruchem cichym i posuwistym rodziny jeleniowatych, a jest następstwem szczególniejszej budowy kończyn, przypominającej geologiczne typy przechodowe zwierząt parzystokopytnych. Ciężkie rosochy na ciężkiej głowie o zwieszającej się górnej wardze, reszta ciała w jakieś linie archaicznych kształtów połamana, składa się na obraz, którego według naszych dzisiejszych pojęć pięknym nazwać nie można. Świat klasyczny bardzo stosunkowo późno dowiedział się o istnieniu takiego zwierza gdzieś na Północy, w krajach barbarzyńców. Ojciec nauk przyrodniczych starożytności nic o łosiach nie wspomina, a gdy on milczał, milczały i długie po nim wieki, aż wreszcie dopiero fragment Strabona na 66 lat przed Chr. z dziejów Polybiosa opowiada o istnieniu łosi w górach Alpejskich podczas przejścia tychże przez Hanibala, a geograf grecki, Pauzaniasz, znajduje go w Gallii w II. w. po nar. Chr. Za czasów Cezara, jak to wskazują wzmianki w jego dziele (*De bello gal.* VI. c. 27), niemniej opisy w Pliniuszu (*Hist. nat.* VIII. c. 15) należał łoś w Germanii do zwykłych zwierząt puszczy, i nie dziw, że zwierz ten swemi niezwykłemi kształty wzbudził ciekawość wielkiego Rzymianina i zwrócił szczególniejszą na siebie uwagę. Powierzchowność łosia, niby do dalekiej przeszłości geologicznej należąca, niby typ jakiś z epoki prastarej, nie mógł się pogodzić z gustem wykwintnego człowieka, i stało się, czegoby się nikt po wawrzynem uwieńczonym Rzymianinie nie spodziewał, iż stworzył on potworną bajeczkę o tym zwierzu, przyjmując na się mimowoli rolę klasycznego Münchausena. Utrzymuje Cezar stanowczo, że łoś stawów w nogach nie ma, skutkiem czego ani się położyć, ani przewrócony powstać nie może, dlatego też śpiąc, opiera się tylko bokiem o drzewo. Korzystają z tego myśliwi wypatrzywszy stanowiska zwierza, podcinają drzewa, przy których łosie drzemkę odprawiają, i w ten sposób bardzo łatwo chwytają zwierza, który razem z drzewem się przewróciwszy, powstać już nie może.

Jeżeli historya taka wyjść mogła z ust jednego z najznakomitszych ludzi, jeżeli Cezar w jakiejś słabej chwili z całą wiarą opowiedział bajkę, wyłączającą łosia z ogólnego zasadniczego planu stworzenia, to nie dziw, że najrozmaitsze dziwadła uchodziły całej armii nieuwieńczonych skroni, którym podania powag dawały sposobność do kompilatorskich popisów.

Trudny do podpatrzenia i zbadania przyrodniczego łoś, zwierz płochy, mieszkaniec zacisznych ostępów i nieprzebytych puszcz, przez długie czasy bardzo tylko powierzchownie był znany. Albertus Magnus w XIII. w. wspomina (*De animalib.* II. cap. 2. p. 15) o łosiach, że znajdują się często w Prusiech, Slawonii i Węgrzech. Tylko tyle o nich wiedział *Doctor universalis*, a Konrad Gessner, niemiecki Pliniusz XVI. w., niewiele więcej w swem dziele (*Thierbuch übers. v. Konrad Forer*, Zürich 1563) powiedzieć umie, odwołując się do podań naprowadzonego Pauzaniasza: „*Das Ellend hat zwei Hörner, doch wie Pausanias sagt, nur allein das Männlin, das Wayblin mangelt der Hörner*“ — a wreszcie, idąc za głosem tradycyi, dodaje: „*auch wie man sagt, so fallen sy jenem jährlich ab*“ (fol. 39, a i b). Charakteryzuje to znakomicie stan ówczesnej wiedzy przyrodniczej. Od II. do XVI. w. nie zdołano żadnych nowych szczegółów podać co do przyrody zwierza, będącego stałym mieszkańcem lasów wielkiej części Niemiec, i gdyby nie geograf II. w., możeby w ogóle nie wiedziano w XVI. w., czyli łosie na głowie noszą jakie wyrostki.

Inni autorowie XVI. w., wspominając o łosiach, okropny wytwarzają chaos. W Szwecyi n. p. mają się odbywać polowania na tury i żubry „*quos patria lingua vocat Ely, id est asinos silvestres*“ (*Cosmogr.* Münster. L. III. 839), a znów dalej „*In interiori Svecya onagri sive alces rhedam per nives trahunt*“ (854) — ziemia zaś pruska „*nutrit animalia quae putantur esse alces. Germania autem vocantur Ellend*“ (785).

W podobnie chaotyczny sposób wspomina ten autor jeszcze w kilku innych miejscach o łosiu, identyfikując go raz z renem, to znów z turem, a wreszcie z osłem dzikim, czyli onagrem. Na str. 785 przytacza jednak mimo to wszystko dość prawdziwy i obszerny opis łosia; widocznie że czerpnął tu nieco prawdy u myśliwych, a wreszcie kończy, jakby mówił o jakiemś udomowionem zwierzęciu: „*alces sunt debilis naturae, potest puer, virgo quo vult impellere*“.

Ochronne prawa Ottona, Henryka II. i Konrada III. cesarzy, nie zdołały na długo powstrzymać zatraty łosi w ziemiach niemieckich. W miarę przerzedzania i uszczuplania się lasów, zanik postępował coraz dalej, a podobnie jak to miało miejsce z innemi zwierzętami, o których istnieniu li tylko tradycya coś niewyraźnego umie powiedzieć, prąd kulturny parł i łosia coraz dalej na Wschód. Najdłużej zatrzymały się łosie w Saksonii, gdzie podobno dopiero w r. 1746 ostatniego łosia ubito, podczas gdy około 200 lat temu kurfürst Jan Jerzy I. za 42-letnich swych rządów w samej Saksonii 148 sztuk łosi ubił (*Mülleri Annal. Saxon.*). Przez długie czasy posyłano biegi (badyle) łosia ze szpikiem na dwór w Berlinie, jako jakiś nadzwyczajny przysmak, a zwyczaj ten, od którego dopiero niedawno odstąpiono, przyczynić się musiał niemało do zdziesiątkowania zwierzostanu łosi w Prusach wschodnich. W ogólności cała Europa upatrzyła sobie coś, jeżeli już nie do całych biegów, to przynajmniej do racic łosich. Haur utrzymuje stanowczo, że kopyto (racica) łosia z p r a w e j t y l n e j n o g i jest nadzwyczajnem lekarstwem na febrę. Sebastyan Münster, nie wchodząc w takie szczegóły, wie jeszcze więcej: „*Ungulae ejus dicuntur prodesse his, qui caduco laborant morbo*“. (*Cosmogr.* L. III. 785), zaś autor XVII. w., J. A. Weber, dowiaduje się, że łoś, cierpiąc na „chorobę świętą“ (?) *morbus sacer*, sam sobie urządza kuracyę przez wsadzenie racicy tylnej prawej nogi w lewe ucho (*dextri posterioris pedis ungulam auriculae sinistrae immittendo*). Kto taką sztukę potrafi, to gimnastyk nie lada, no, ale do czegoż nie zmusi bojaźń śmierci. Proste naśladowanie tego znakomitego środka leczy padaczkę u ludzi, a nawet amulet z racicy łosiowej jest według słów autora całkiem pewnym środkiem ochronnym. W końcu wspomina Weber, że przeciw tej samej chorobie używają w Polsce stróżyn i opiłków z racicy (*Discursus* 1690, p. 220).

Na dworach królów i magnatów naszych, oprócz biegów, również i chrapy łosia za nadzwyczajny ceniono przysmak, ba! nawet potraktowano raz na dworze Zygmunta III. starego legata papieskiego potrawą z biegów łosia. Nie wiem, jakie ten sędziwy prałat wyniósł wyobrażenie o kulinarnej

sztuce Polaków, zdybawszy się pewnie po raz pierwszy z takim przysmakiem, to pewne jednak, że przypadek ten utkwić musiał na długo — nie wiem czy w miłej pamięci — lecz z pewnością w żołądku legata.

Wielka pieczeń łosiowa, czyli pieczeń *magnae bestiae*, jak zwano u nas łosia, nie należała do wykwintnych dań; było to jadło pospolite w obec ilości tego zwierza i jego ogromu, bo 600 do 800 funtów ważące sztuki nie należały do rzadkości. „Musi pan wołu zarznąć, gdy łosia nie dostanie“ — przeszło prawie w przysłowie, świadcząc aż nazbyt wyraźnie, jak pospolitą zwierzyną był ongi łoś na ziemiach naszych, tak, iż pomimo stosunkowo łatwych na nie łowów, pomimo nieoględności, z jaką łowy te wykonywano, pomimo, że już za Władysława Jagiełły zwierz ten nie należał do łowów królewskich, strzeżonych ongi t. zw. prawem leśnem, lecz polowała nań cała szlachta (*Bandtke, Jus polon.* str. 218), wielkie zwierzostany łosi przechowały się jeszcze do póżnych czasów historycznych.

Podobnie jak autorowie cudzoziemscy, nazywały i wszelkie prawa polskie tej epoki łosia „onagrem“, pod którą to nazwą rozumiemy obecnie azyatyckiego osła dzikiego.

W epoce Jagiellońskiej, niby w kalejdoskopie, przesuwają się barwne obrazy wspaniałych łowów — a główną sceną tego bohaterskiego dramatu są puszcze w środkowym paśmie kraju. Widocznie, że kolonizacya, wiekowe niepokoje na zachodnich kresach i gorączka myśliwska, trwająca w sposób monstrualny od XI. do XIII. w. u książąt i królów, przetrzebiły potężny zwierzostan kniei. Po zdobycz grubego zwierza, zdobycz wprawiającą w zdumienie obcych przybyszów, trzeba było sięgnąć do wnętrza kraju, do dziewiczych puszczy, kryjących jeszcze zwierzostany, jakich już nigdzie w Europie zachodniej nie było. Nie chcę się tu powtarzać, naprowadzając podania naszych dziejopisów co do zdobyczy łowieckich w tych czasach, wszak tyle już nadużyłym cierpliwości łaskawego czytelnika w pracy mej „Z łowieckiej przeszłości“ („Łowiec“ z r. 1892); powiem tu tylko krótko, że są to cyfry, którym mimowoli nie dowierza umysł dzisiejszego człowieka, a gdy i o wielką przesadę posądzimy kronikarzy, to jeszcze zdobycze polskiego łowiectwa, te masy mięsa i łoju, których główną treść łoś stanowił, mogły karmić wojenne zastępy pod Grunwaldem, mogły w podziw wprowadzić obcych na pamiętnym zjeździe w Łucku (1429).

Jeszcze dosyć łosi było w środkowym paśmie puszcz, ale ciągnie coś koronowanych łowców w rodzinne lasy Litwy. Gdy mróz skuje nieprzebyte obszary zapadłego Polesia, gdy pora zimowa i śnieżna umożliwi przejście dziewiczych puszcz w głębokiej Litwie — przemyka barwny, wspaniały orszak łowiecki Jagiellonów przez ogromne obszary puszcz i kniei, roznosi daleko swe głosy kosztowny „litaus“ z rogu tura — pośród masy innej zwierzyny pada po sto łosi dziennie, a całe tabory archaicznych teleg wywlekają z manowców puszczy olbrzymią zdobycz królewskich łowów. To jedna z najwspanialszych kart naszego łowiectwa historycznego, a epizody, jakie nam przekazała historya, to unikaty w swoim rodzaju, niby przejawy epok bohaterskich w późnych już wiekach historycznych. Łowy — sposób wykonania łowów, zwierzyna — to wszystko łączy się w jedną harmonijną, wzniosłą całość na tle tego paradyzu łowieckiego, jaki się tu rozciągał w olbrzymich, odwiecznych puszczach, pomiędzy „Podlasiem“ i „krajem zapuszczańskim“, leżącym z drugiej strony lasów i puszcz, w Trockiem.

Litwa uchodziła w oczach ludu za las jednolity. I w samej rzeczy, w przedziwny wianek łączą się tu na ogromnych obszarach, ogromnych rozmiarów lasy; puszcza styka się z puszczą, bagna, moczary, rzeki i rzeczki mieniają się z ziemią, ległą wysoko na grzbietach bałtyckiego Pojezierza, aż wreszcie wianek ten gubi się w matniach olbrzymich bagien i lasów Pińszczyzny, czyli litewskiej „Geryi“. Niezmierny obszar puszcz Mazowieckich nad Narwią dotykał granic puszcz litewskich — w lasach Rajgrodzkich przechowały się jeszcze do dziś dnia świadectwa dalekiej przeszłości leśnej — a dalej puszcze Grodzieńskie z słynną Białowieżą — Merecz nad Niemnem — puszcze nad Dubisą i Niewiarą — lasy Kurtowańskie w Wileńskiem, istne oczko w głowie naszych Jagiellonów: puszcza Rudnicka ze sławnym swym „Karala Daržas“ czyli ogrodem królewskim, w którym, jak niesie podanie ludu, królowie z okien zameczku łowieckiego bili pędzone obławą z lasów nad brzeg Mereczanki łosie i niedźwiedzie. I ciągnie się dalej pasmo lasów przez powiat Nowogrodzki — tam puszcze słynne Nieświeża i inne — dalej w powiat Miński, gdzie ogromne leśne obszary zajmują puszcze Borysowskie, Smołowickie, Berezyńskie, Ihumeńskie, Świsłockie — zniża się wreszcie połać kraju ku Pińskiej równinie, Prypeci, tego unikatu na ziemiach europejskich, gdzie występuje w całej swej oryginalności obraz dziewiczej natury, dębowe, brzozowe, łozowe lasy — gęszczaki kolących zorścieli, tysiące ostrowów wśród nieprzebranych wód, jezior i bagien. To teren jakby umyślnie dla łosia stworzony, jakby szmat ziemi zachowany z dalekiej przeszłości, to też nie dziw, że do dni naszych potrafił w swych matecznikach zachować resztki wspaniałego zwierza, pomimo bezwzględnego i wieki trwającego prześladowania.

Pobieżnym rzutem oka przebiegłem wielki, godny władców wschodniej Europy zwierzyniec litewskich ostoi łosia. Wszędzie można tam spotkać się z jakąś pamiątką dawnej łowieckiej przeszłości, jednak koleje czasu wielkich tam zmian dokonały. Nazwa „lesistej Litwy“ należy już chyba do przeszłości, coraz to nielitościwiej szarpała chciwość szatę olbrzymiej wegetacyi, z wielu dawnych puszcz nie ma ani śladu, wiatr przegania piaskiem po brzegach rzek niegdyś dżdżystej Litwy, topór ogołocił urocze miejsca z wianków zielonych, rozsypał się cały poczet rozrzuconych wśród puszczy zamków łowieckich. Tęskno użala się serdeczna pamięć nad tem, co tu niegdyś było.

Bardzo zbliżony pod względem przyrodniczym charakter kniei i puszcz w wielu innych częściach Rzeczypospolitej, sprzyjał niemniej zwierzostanom łosi, że wspomnę tu jedynie o słynnych puszczach Mazowieckich i ostępach łosiowych północnego Wołynia. Niemniej zapisały się w pamięci łowieckiej przeszłości puszcze Sandomierskie i Nadbużańskie.

Z łatwych do pojęcia przyczyn, zatrata zwierzostanów łosi następowała najprzód w kniejach, do których przystęp był łatwiejszy, i które leżały bliżej stałej siedziby monarchów; zwierzostany oddalonych puszcz chroniła do czasu sama przyroda — a jeżeli spoglądniemy na mapę i na te ogromne obszary, jeżeli uzmysłowimy sobie trudności, jakie sam teren nastręczał, to w podziw może nas wprowadzić energia i zapał tych bohaterskich orszaków, jakie tu spotykamy tak często na tropach grubego zwierza. Było wprawdzie dosyć łosi w puszczach Mazowieckich jeszcze w XVII. w., ale po większe myśliwskie wrażenia trzeba się było zapuszczać w głębokie knieje Litwy, które nigdy nie zawodziły. Zrozpaczony po śmierci syna Władysław IV., chcąc zapewne utopić swe smutki, jedzie w Litwę na łowy, i tu w Iziorze,

w powiecie Grodzieńskim istną rzeź sprawia; 38 sztuk łosi pada zaraz na początku łowów. Ileż tam być musiało tego zwierza!

W ziemi Wołyńskiej koło Włodzimierza znajduje łosie lustracya w r. 1552 w puszczy Smedyńskiej nad Bugiem, a słynnym z obfitości łosi był Stepań nad Horyniem, Turzysk nad Turją i puszcza Cumańska ordynacyi Ołyckiej.

Jeszcze w drugiej połowie ubiegłego wieku kryją się mnogie zwierzostany na Mazowszu w puszczach Sandomierskich. August III. zagląda kilka razy do ziemi czerskiej, poluje w Osiecku i w Otwocku, w lasach Kozienickich nad Wisłą na łosie, i pozostawia jeszcze nieco tego zwierza dla Stanisława Augusta, który tu również łowy wyprawia.

Stosunki, które przyczyniły się do raptownej zatraty wielu innych zwierzostanów, a o czem obszernie traktowałem już w pracy „Z łowieckiej przeszłości“ („Łowiec“ z r. 1892), wypisały przedewszystkiem temu płochemu mieszkańcowi głuchych ostępów wyrok zatraty — śmiertelny zaś cios dotknął łosia pod panowaniem cesarza Pawła, u schyłku zeszłego wieku, gdy wprowadzono łosiowe pasy w armii. Raptem zniknęły podówczas przerzedzone już mocno zwierzostany w środkowych pasmach kraju, a utrzymują się jeszcze dalej w resztkach Zaniemeńskich puszczy, w zapadłem Polesiu i w tych nielicznych ostępach, w których je prywatna strzeże gorliwość, i gdzie jeszcze nasze czasy je zastały.

W tej części dawnej Rzeczypospolitej, która się dostała pod panowanie Austryi, już pod ten czas łosi nie było. Na łowach, odbytych w r. 1730 w dniach 24. i 25. września w lasach Niepołomickich, padły tylko trzy łosie, ostatni zaś miał tam zginąć w r. 1769. Był to ostatni tego rodu w tej części, którą Galicyą nazywamy, jeżeli pominiemy milczeniem istny fenomen krajowego łowiectwa, jakim jest zabicie łoszaka w Rudniku dnia 11. października 1887, który nie wiedzieć z jakich przyczyn zagnał się wraz z klempą aż w strony Rzeszowa.

W rozmaitych stronach kraju, w łożyskach rzek, w usypiskach, przypadek najczęściej odkrył resztki tego zwierza, resztki charakterystyczne, które i dziecko odróżnić potrafi. To rosochy łosia, łosia niedawnej przeszłości, bo czas jeszcze nie zdołał w swój sposób zniszczyć substancyi, nie zmineralizował jej, nie stworzył tej patyny, jaka cechuje resztki geologicznych czasów. W r. 1843 n. p. znaleziono w Wiśle, wprost puszczy Niepołomickiej, nadzwyczajnej wielkości rosochy łosia, ważące 54 funtów.

Krótka wiadomość, jaką podaje K. W. Wójcicki („Zwierzęta w Polsce“ str. 387. 1841. *Przyjaciel ludu*) o wyniszczeniu łosi na Podlasiu, daje niejakie pojęcie o przyczynach raptownej zatraty tego zwierza na całych połaciach krajów: „Strzelcy, których nie brakło tam“ — powiada rzeczony autor — „zawzięli się na biedne łosie, i w krótkim czasie wybili wszystkie, marnując je do tego stopnia, że skóry po dwa złotych polskich sprzedawali żydom“.

Pod ścisłą ochroną zostające po dziś dzień bobrowiska łosi wskazują poniekąd, że jakaś ponad wszystko potężniejsza Nemezis zawisła nad głowami tego rodu, podobnie jak nad żubrami, których strzeże na ograniczonym pasku ziemi opieka potężna. Wszystko to jednak przedłużyć tylko zdoła istnienie gatunku, należącego do innych stosunków kosmicznych, ale nie potrafi utrzymać go na tym szczeblu bytu i powodzenia, z jakiego zepchnęły go zmienione stosunki przyrodnicze, nie zdoła utrzymać istniejących drzewostanów w dawnej sile, bo siła ta płynęła z kombinacyi czynników, jakie już dziś mimo najusilniejszych starań wytworzyć się nie dadzą. Z przykrością i żalem skreśliłem ponury horoskop co do żubrów w puszczy Grodzieńskiej w pracy mej „Z łowieckiej przyszłości“, mimo, że do różowych właśnie nadziei uprawniała opieka władców Wszechrossyi i podania korzystnej rozmnoży tych zwierząt. Niestety, złe przeczucia poczynają się sprawdzać, smutno brzmią ostatnie biuletyny z puszczy, a jeżeli zauważymy, że w interesie administracyi puszczy nie leży bynajmniej odkrywanie smutnej prawdy, to myśl bliska, że popsuło się coś w tej dziedzinie, że żywa pamiątka naszej wspaniałej północnej fauny, bez świadomych powodów kładzie przed czasem swe kości na tym płatku, gdzie go na podziw Europy zamknięto, darząc chlebem łaskawym. Złowrogie: *Mene, thekel, upharsin* wypisuje żubrom niewidzialna ręka, a ten sam wyrok grozi i łosiom, gdyż z każdym dniem ścieśniają się granice jego przybytków, i coraz dalej wkracza w dziką przyrodę największy wróg — ręka kultury.

W chwili obecnej na wielkich połaciach niedawnych jeszcze bobrowisk łosia, pozostała tylko słaba tradycya, a gdy zważymy stosunki łowieckie, jakie panują na tych obszarach ziem naszych, w których łoś, dzięki samej przyrodzie, jeszcze się znachodzi, to pouczeni analogiczną przeszłością tego zwierza w innych dzielnicach, nie możemy ani na chwilę wątpić o smutnej jego przyszłości. Są to rzeczywiście *morituri* fauny leśnej — niedobitki pierwotnych puszcz, do których człowiek żadnych nie miał pretensyj, zadawalniając się tylko tem, czem przyroda tychże, nie licząc się wcale z potrzebami ludzkości, łaskawie go obdarzyć chciała.

Stosunki łowieckie na Litwie, Czarnej Rusi, Polesiu, a w szczególności w tych powiatach, gdzie się jeszcze łoś znachodzi, „można tylko z głębokiem westchnieniem opisywać“ — powiada szanowny korespondent z powiatu Borysowskiego („Łowiec“ z r. 1893, str. 28) — a te kilka słów, do którychbym mógł dołączyć cały szereg utyskiwań i żalów, jakiem rozbrzmiewa nieustannie piśmiennictwo zawodowe nad opłakanym stanem łowiectwa także i w innych powiatach dawnego naszego paradyzu łowieckiego, tłumaczą aż nadto wymownie stan rzeczy. Zwierzostany łosi utrzymały się jeszcze albo w tych miejscach, gdzie czuwa nad niemi opieka prawdziwego miłośnika, albo błąkają się stadka niewielkie tam, gdzie sama przyroda chroni je od zagłady do pewnego czasu: to znów niepokojone bezustannie w pewnych miejscowościach, opuszczają wbrew swemu zwyczajowi knieje rodzinne i zaganiają się w dalekie strony. Łoś nie lubi zmieniać miejsca, jednak ostatecznością powodowany, bezustannie płoszony, wpada w szalony trucht, w którym go już żadna przeszkoda powstrzymać nie zdoła, przebiega ogromne knieje, moczary, przepływa rzeki i pojawia się wreszcie gdzieś daleko, gdzieś, gdzie go od niepamiętnych czasów nie widywano. Słyszałem, że już w wieku naszym, gdy niepokojono łosie w kniejach wołyńskiego Polesia, pojedyńcze zwierzęta zaganiały się w lasy Łopatyńskie i Ohladowskie, gdzie je w samej rzeczy widziano. W r. 1881 w Szepetówce, w lasach graniczących ze Sławutą, ubito łosia. Od lat 70-ciu nikt tam w tych kniejach łosia nie widział. W r. 1885 zagnał się łoś jeden aż w lasy Lubartowskie nad Wieprzem, a prawie równocześnie pojawiła się jeszcze para tych zwierząt, wyniósłszy się wkrótce bez śladu. Prawdopodobnie zwierzęta te przybyły aż gdzieś z lasów Nadbużańskich, a może aż od Prypeci.

Pomimo, że „Kraj“ w r. 1888 umieszcza korespondencyę z Berezyńskiego, w której się następujące znajdują słowa: „łosi lub niedźwiedzi i na lekarstwo u nas nie znaj-

dziesz" — knieje Berezyńskie, a w szczególności hr. Augusta Potockiego, posiadają jeszcze piękne zwierzostany łosi.

W Pińszczyźnie słynie Porzecze pp. Skirmuntów z łowów łosich, a w lasach ordynacyi Ołyckiej w ziemi wołyńskiej, ma się znajdować w bagnistej puszczy Cumańskiej zwierzostan do 400 sztuk wynoszący.

W słynnych w dziejach Birżach, w powiecie Upitskim, tuż przy kurlandskiej granicy, obecnie majętności hr. Tyszkiewicza, wynosić miał stan łosi przed kilkunastu laty 60—70 sztuk.

Nie chcę dalej nudzić łaskawego czytelnika naprowadzaniem miejscowości, w których się jeszcze łosie w granicach dawnych naszych posad znachodzą. Na podstawie dat ogólnie znanych, z przydatkiem niektórych tu dołączonych, można i tak wytworzyć sobie ogólny obraz rzeczywistego stanu rzeczy, bo do statystyki tego zwierzostanu nie doszedłbym, opierając się na bardzo niedostatecznych, rozrzuconych i sprzecznych podaniach. Czem dalej na Wschód, w głąb państwa rossyjskiego, czem dalej od rzek, w głąb wprawdzie mocno szarpniętych, ale mniej w skutek braku spławów niepokojonych puszcz — tem gęściej występują zwierzostany łosie, a występują w ogromnym paśmie krajów aż po tundry Północy, gdzie im wreszcie klimat stawia granice rozsiedlenia, mniej więcej pod 64^0 szer. geogr., w państwie pokrewnego łosiom renifera.

W całej prawie Syberyi stanowi łoś przedmiot bezustannych łowów, a również wielkie zwierzostany znajdują się w pojedyńczych guberniach po zachodniej stronie Uralu. W r. 1883 ubito w jednej gubernii Permskiej 130 sztuk łosi.

Na całym obszarze obecnego cesarstwa niemieckiego znajduje się jedyny zwierzostan łosi w swych naturalnych siedliskach w Prusiech Wschodnich, w powiecie Gębińskim (Gumbinen) w królewskiem nadleśnictwie Ybenhorst, rozciągającem się na obszarze 50.000 morgów pruskich wzdłuż zatoki Kurońskiej w delcie Niemnowej, pomiędzy ramionami Rusią i Gilgą, a ograniczonym bliżej rzekami Alhuath i Loye. Godzinę drogi na zachód od Tyiży zniża się kraj, napływowy grunt tworzy płaszczyznę przerywaną nieznacznie pagórkami dawnych zasp. Wiosenne wody delty, niemniej fale zatoki zalewają od czasu do czasu ten obszar tak, że tylko pojedyńcze, wznioślejsze wały terenu sterczą z ogólnej powodzi. To jest owe jedyne eldorado łosia w granicach państwa niemieckiego. Składają się na nie 2000 morgów lasów szpilkowych, 4000 morgów olszyn i podmokłej rokiciny, wreszcie 6000 morgów torfowisk, pokrytych bujną a charakterystyczną tych miejsc wegetacyą. Według ścisłych obliczeń, przedsięwziętych dnia 1. czerwca 1891 r., wynosił tam zwierzostan łosi 106 sztuk. Pomimo zatem ochrony i starań, uszczupla się ilość tego zwierza z każdym rokiem, jeżeli mamy dać wiarę podaniom dawniejszym. W r 1884 miało ich tam być 150 sztuk, a w r. 1861 podawał Dr. Hartig ilość 200 sztuk (Lexikon f. Jäger u. Jagdfreunde), dodając, że około 50 sztuk łosi znajduje się jeszcze w lasach koło Królewca. „*Mehr will man aber auf beiden Orten nicht haben, weil sie am Holze viele Schaden thun*" — wypowiada wreszcie naprowadzony autor, przypominając bajkę o lisie i kwaśnych winogronach. Wprawdzie w lasach uszczuplonych, znajdujących się już w niejakiej kulturze, pobyt łosia wcaleby pogodzić się nie dał z gospodarstwem leśnem, jestto bowiem szkodnik, nie mający sobie równego, jednak w puszczach pierwotnych nieco może więcej poświęciliby mu potężni tych obszarów panowie, aby tylko utrzymać i rozmnożyć tego olbrzymiego zwierza, zmonopolizowanego w pewnych tylko zakątkach lasów środkowo europejskich.

O łosiu, posiadającym o wiele dłuższy kanał pokarmowy od wołu (długość bowiem tegoż wynosi 211 stóp, podczas gdy wołu tylko 150 stóp, co usposabia łosia do pobierania wielkich mas niestrawnego dla innych zwierząt drzewnika), powiedzieć można, że żyje on prawie wyłącznie szkodą zadrzewienia, podczas gdy inna zwierzyna uszkadza drzewa nie z konieczności, ale powodowana nawyknieniem. Łoś czyni to z fizyologicznej potrzeby. Ale cóż znowu za tak straszne uszkodzenia może wykonać łoś w Ybenhorście? Nawet przez powiększające szkła zazwyczaj patrzący pruscy forstmajstrzy przyznają, że żeruje przeważnie w krzaczystej wegetacyi wierzb, łóz i olszyn, a uszkodzone przez niego krzaki zawsze zdatne są jeszcze na faszyny, na co ich głównie używają. Chętnie zatem chcianoby pomnożyć zwierzostan łosiów, sprawiający tyle emocyi dostojnym myśliwym — ale nie idzie — biadania i żale nad tem nie mają końca. (Baron Nolde „*Die Abnahme des Elchwildes in Ybenhrst*". *Ill.* J. Z. XIII. 179).

Na półwyspie Skandynawskim znajdują się jeszcze imponujące zwierzostany łosi, jakkolwiek i tutaj w ostatnich czasach, przy ułatwionej komunikacyi, pojawiają się coraz to gęściej miłośnicy łowów łosich, przeważnie Anglicy, i decymują zwierzostany, wynajmując polowania od chłopów, jako właścicieli łowiectwa. Cała zgraja sportsmanów poluje rok rocznie na łosie w Norwegii.

W Szwecyi po kilkakroć starano się zaostrzeniem ustaw łowiectwa łosiowego położyć tamę widocznemu zmniejszaniu się zwierzostanów; przeciwnie w Norwegii, w ostatnich latach uczyniono tam wszystko, aby ile możności ułatwić łowy obcym myśliwym. To też zniszczał tam w pewnych okręgach stan łosi do tego stopnia, że sprawa oparła się aż o parlament, wywołując między posłami zdania co do wszechstronnego ograniczenia łowów, ale skończyło się na niewielu mało znacznych zmianach, i jak dawniej, tak i teraz przeciągają synowie Albionu dzikie góry i lasy, stoki Kjölenu, a przewodnik, zazwyczaj właściciel obszaru łowieckiego lub ktoś z jego rodziny, przy pomocy specyalnego na łosie t. zw. „Elghunda", t. j. psa gatunku silnego szpica, prowadzi chętnego niezwykłych wrażeń myśliwego pod ostoje olbrzyma północnych lasów.

Ograniczenie łowów łosich w Szwecyi, gdzie główne bobrowiska znajdują się w lasach koronnych i w rewirach barona Dicksona, wywołało wpływ znakomity. Ustawy szwedzkie, z wyjątkiem miesiąca września, chronią łosia przez rok cały, w Norwegii zaś peryod legalnych łowów trwa przez miesiące sierpień, wrzesień i październik.

Według wykazów statystycznych, ubito w r. 1886 w samej Szwecyi 1197 sztuk legalnie, a około 300 sztuk padło od kul kłusowniczych. W jednym rewirze koronnym, w Hunnebergu, na obszarze 5000 hektarów, koło słynnych wodospadów Trollhaeten, padło 62 sztuk łosi. Cyfry te dają wyobrażenie o bogactwie bezprzykładnem zwierzostanu łosi w rewirze Szwecyi.

W końcu poświęcić mi wypada jeszcze kilka słów łosiom drugiej półkuli, jeżeli mowa o moriturach fauny leśnej.

Nie rozstrzygnęła jeszcze dotąd nauka, czyli łoś amerykański (*Alces americanus*, także *Moosedeer*, *Moos hier*, *Orygnal* kanadyjczyków) jest odmianą zoologiczną łosia starego kontynentu, pomimo skonstatowanej różnicy w budowie odnóży. Zwierz ten znajduje się w lasach Nowej Szkocyi, Nowego Brunświku i sięga aż po góry Skaliste, a przecież

na tym dzikim jeszcze obszarze ogromnym krajów zatraca się pod wpływem prześladowania, do jakiego chyba tylko Amerykanin — ten zlepek wszystkich możliwych ras kulturnych i dzikich — odziedziczywszy wszystkie dobre i złe strony swych przodków, z drapieżnością człowieka dzikiego, a sposobami ras kulturnych, po większej części nie powodowany prawdziwą żyłką myśliwską, ale poziomą namiętnością bogacenia się, staje się strasznym niszczycielem, niszczycielem bez opamiętania, jak gdyby wnet miał nastąpić potop. To nie żelazna konieczność, nie obręcz kultury zacieśnia siedliska zwierza i staje się pośrednio powodem jego zatraty, ale urosła na poziomym gruncie manja niszczenia lekkomyślnego kłóci spokój dziewiczej natury. Czego nie dokonały tysiąclecia na gruncie starej Europy, pod wpływem wszechstronnych przyczyn, stało się w bardzo krótkim czasie na scenie fantastycznych powieści Coopera; zatraciło się wiele gatunków wspaniałej fauny, zaginął łoś na południu wielkich jezior w stanie Ohio, gdzie niegdyś w niezliczonych przebywał stadach, gdy do eksterminacyjnej walki wystąpił biały osiedleniec wspólnie z niedobitkami czerwonoskórców, zaopatrzonych przez niego w broń udoskonaloną.

Przepadliście!

Oto posępny wyrok, który wydaje kolej wieków licznym gatunkom wśród chciwych zdobyczy tępicieli, posuwających się w coraz dalsze komesze za tropem uchodzącego zwierza. To już nie romantyczne człowieka z naturą zapasy, ale brutalna nierównych sił walka — a z pogromu tego za oceanem brzmi i nad głową orignalów Ameryki złowrogie: „Morituri!“

PRZYJACIÓŁKA WILKÓW.

Są kobiety wyjątkowe, które dosiadają konia z odwagą i wytrwałością mężczyzny, zajmują się gospodarstwem rolnem jak skończeni agronomowie i rządcy, znają się na łowiectwie i strzelają w kniei jak najlepsi myśliwi. Znałem taką wyjątkową kobietę, kilka razy w życiu spotkałem się z nią i owym spotkaniom tę kartkę wspomnień poświęcam.

Było to... ale mniejsza o to, gdzie to było. Pan Tyburcy, niegdyś pan pięknej fortuny, zażywający słusznie sławy poczciwego człowieka, kochany i poważany, zamiłowany myśliwy i hodowca koni — żył sobie swobodnie w swej szerokiej zagrodzie.

Znajomi myśliwi, by użyć prawdziwej przyjemności łowów i staropolskiej gościnności, raz w rok zjeżdżali się do pana Tyburcego. Z dalekich stron przybywała brać myśliwska, bo pan Tyburcy, niech Bóg uchowa, żadnego ze znajomych, choćby najdalej mieszkającego, nie zapominał zaprosić.

A kto znów chciał mieć dobre konie, zdążał po nie także do pana Tyburcego, bo stajnia jego miała rozpłodniki przeważnie pełnej krwi arabskiej, które pan Tyburcy osobiście ze Wschodu sprowadzał.

I było dobrze — było bardzo dobrze... Ale fortuna kołem się toczy, i jak raz machnie koziołka, stacza się na dół, co było na górze. Ot los wszystkiego na świecie...

Zaczęły się niepowodzenia w polu, w stajniach i w całym dobytku poczciwego pana Tyburcego. Nie potrwało długo i p. Tyburcy został zniewolony oddać w inne ręce szeroką swą zagrodę, a za resztki uratowanego mienia wydzierżawił niewielki majątek ziemski.

Kto się przypatrywał temu fatalnemu niepowodzeniu pana Tyburcego, mógł tylko boleć, ale nie dziwiła go nieuniknioną ruina majątkowa. Większa jednak część sąsiadów i znajomych przypisywała ją stajniom p. Tyburcego. — Mój Boże! gdybyż to jeszcze było w teraźniejszych czasach, gdy korzec owsa na guldeny się sprzedaje -- ale ongi, kiedy go na „dutki“ kupowano, i kiedy nikt o owies nie pytał, bo na odstawie łamało się koła i zabijało konie!... Czyż w danym razie nie było wówczas popłatniej, zamiast ładować owies na kilkanaście fur, i światami z mozołą transportować, wpakować go w jednego konia i wziąć za konia dobre pieniądze?

Szukano różnych powodów ruiny p. Tyburcego — mówiono o niej dużo, ale wnet mówić skończono — bo tak było, tak jest i tak będzie, że kto na igrzysko niepowodzeń skazany, odwracają się od niego ludzie i wkrótce o nim zapominają. Tak też było i z p. Tyburcym. Z rodziną nieliczną, bo tylko z żoną i kuzyną, panią Heleną, a z resztką swego mienia, zapomniany od wszystkich znajomych z lat dobrych, osiadł na dzierżawie. Lecz i tu klęski nie dały za wygrane. Wkrótce żona p. Tyburcego przeniosła się do wieczności, a p. Tyburcy dotknięty głęboko tym ciosem, zostawił dzierżawę na opiece p. Heleny, sam zaś opuścił i tę siedzibę, odjeżdżając w dalekie strony.

Pani Helena, młoda osoba niezwykłej energii, oddała się tedy gospodarstwu i zawiadywała dzierżawą, ku ogólnemu podziwowi, dobrze i szczęśliwie. A miała również, jak wuj jej, zamiłowanie do koni i do fuzyjki. To też liczba koni zwiększała się co roku, a że na gruntach dzierżawionych polowania nietylko w polu, lecz i w lesie należały do p. Tyburcego, a były w opłakanym stanie, więc p. Helena poświęciła i tej gałęzi wszelkie starania, które się w zupełności powiodły. Przez przeciąg trzech lat nie urządzała wcale polowań, a nadto utrzymywała osobnego dozorcę, który poskramiał liczną hordę kłusowników.

Po trzech latach energicznej i wzorowej pod każdym względem gospodarki p. Heleny, powrócił p. Tyburcy do majątku dzierżawionego, a ujrzawszy dobytek pomnożony gospodarką uregulowaną, pozostawił takową i nadal w ręku p. Heleny, sam zaś zamieszkiwał spokojnie swój kącik, i jedyną rozrywką jego było polowanie.

W tej to dobie znalazłem się i ja w sąsiedztwie p. Tyburcego. Podówczas w podeszłym już wieku, czerstwy jednak i ruchliwy, powierzchowności ujmującej, nakazującej szacunek i poważanie, bardzo miłe wywarł na mnie wraże-

nie. To też każdą wolną chwilę z prawdziwą przyjemnością spędzałem w jego towarzystwie. Poczciwy p. Tyburcy od płacał mi wzajemnością tę szczerą sympatyę, i żadne polowanko nie obeszło się bezemnie, a trafiało się i tak, że gdym nie mógł na zaproszenie przybyć, p. Tyburcy dzień polowania odraczał. W każdem też polowanku brała udział i p. Helena, i to nie *pro fórma*, bo strzelała znakomicie.

Pierwszą podówczas miałem sposobność poznać kobietę, która z rusznicą tak dobrze się obejść, tak wybornie użyć jej umiała. Przypominam sobie — bo trudno mi zapomnąć — jak razu jednego polowaliśmy w lesie. Dostało mi się stanowisko w sąsiedztwie p. Heleny. Miot miał się ku końcowi; podwoiłem baczność, będąc pewnym zająca, którego przed chwilką w gąszczu widziałem. Wtem o jakie 30 kroków wypada kozioł na linię. Rozpoznałem go na wąskiej .. ijce, przepuściłem w miot po za siebie, w starszy las i strzeliłem.

Są myśliwi, ale ich nie wielu, którzyby po chybionym strzale nie znaleźli wymówki na usprawiedliwienie pudła. Temu zawadził rzemień od rusznicy, innemu jakaś gałązka, innemu znów zwierz szedł tak, jak nigdy nikomu — słowem, tysiące przeszkód fenomenalnych sypie się na usprawiedliwienie pudła. Ja także piszę się do tej większości i na usprawiedliwienie moje podam, że gdyby cały ładunek śrutu był trafił kozła a nie graba o kilkanaście kroków, byłbym z pewnością kozła tego zabił. Tymczasem kozioł, naparty nagonką, to znowu przestraszony moim strzałem, uchodził wyciągnięty jak struna i zakreślał łuk, zbliżając się do stanowiska p. Heleny na piękny strzał o jakie 60 kroków. Zakurzyło się z dwururki p. Heleny, rozległ się huk strzału, i kozioł przez łeb zkoziołkował na miejscu.

— Strzelałam na odpowiedzialność pana, że to koziołek — rzekła do mnie po strzale p. Helena.

— Nie koziołek, ale ogromny kozioł — odpowiedziałem.

— To dziękuję panu za niego!

Całkiem niezasłużenie dostało mi się to podziękowanie, bo przyznam się, że kozła rad byłem zabić, ale nie udało mi się.

Nietylko w kniei, ale i w polu, na przepiórki i kuropatwy, których wyjątkowo w okolicy tej było bardzo dużo, okazywała się p. Helena wyśmienitym łowcem, a znakomite usługi oddawał jej w tem pies, którego w swoim czasie żaden myśliwy byłby nie przyjął. Oto skąd się wziął ów pies.

Pan dzierżawca, poprzednik p. Tyburcego, pozostawił w spuściźnie bardzo niedobrego psa, który dla swej zajadłości na wieczne upięcie na łańcuchu był skazanym. Był to śliczny pies o długim włosie ciemno-żółtym, lecz gdybym chciał go dokładniejszej poddać analizie, powiedziałbym, że brakowało mu odpowiednio długich uszu, i trąbę miał nieco za krótką i za grubą. Mimo tych dopatrzonych braków, był stary „Becho“ — bo tak go nazywano — ślicznym psem, w którym na pierwsze wejrzenie cechowało się dużo krwi wyżła rasy kurlandzkiej. Nieodpowiednie obchodzenie się z Bechem od pierwszej jego młodości, trzymanie na dziedzińcu i łańcuchu pogwałciło naturę szlachetnego psa, stał się więc złym i nieprzystępnym, jak może żaden kundys.

Pani Helena, zwolenniczka psów, zwróciła uwagę swą na Becha, a widząc w nim krew szlachetniejszą, uwolniła go z wiecznych więzów. I sporo czasu upłynęło, w którym p. Helena była istną niewolnicą Becha; na silnym łańcuchu wodziła go ze sobą, a do pomieszkania jej nikt nie mógł progu przestąpić, dopóki p. Helena nie ujęła Becha za obrożę.

Nastała jesień, p. Helena zaczęła Becha używać do polowania i to wpłynęło najbardziej na ułaskawienie psa. Z każdym dniem stawał się łagodniejszy, i w krótkim czasie był jak nie ten sam. Jednej tylko wady nie postradał aż do śmierci, t. j. że na każdego, do kogo p. Helena podniesionym tylko głosem mówiła, rzucał się a nawet kaleczył.

Dobre polowanie z psem, który większą połowę życia spędził na łańcuchu, na którym ze złości pościerał do połowy zęby! Nie ma co zazdrościć takiego psa myśliwemu — rzecby mógł niejeden. — Tymczasem p. Helena dokazała z Bechem, samą cierpliwością, łagodnością i przywiązaniem, sztuki nadzwyczajnej. Wyrobiła go na psa łowieckiego w całem tego słowa znaczeniu.

Utrzymuję, że nie ma psa, któryby nie miał choć małej wady. I w świecie zwierzęcym trudno o doskonałość. To też Becho pozostał z niewyrugowanemi dwoma wadami. Pierwszą jego wadą było, że brał krótkie pole i po mału chodził, ale też prawda, że po za sobą nic nie pozostawił. Lubię psa i utrzymuję, że jest najlepszym, jeżeli szukając, bierze dalekie pole, byle miał dobry nos, pole w całośc wyzyskał, daleko wystawiał i dobrze wytrzymywał. Druga wada Becha była, że zbarczoną przepiórkę albo kuropatwę za silnie chwytał i często zepsuł, ale nie bardzo. Zresztą wystawiał znakomicie, aportował bardzo dobrze, zająca nie gonił a strzelonego aportował bez natężenia, i nie dziw, bo był niezwykle duży i silnie zbudowany.

Mimo tych wad, zaliczał się dobry i ładny Becho do tak dobrych psów, jakich nie wiele. Nie długo jednak, bo tylko około trzech lat służył Becho w szlachetnym zawodzie myśliwskim; dostawszy wrzodu w uchu, zginął. P. Helena odczuła bardzo stratę Becha. W nagrodę za dobrą służbę, włożono go do skrzynki z drzewa dębowego i pochowano pod starą rozłożystą lipą w ogrodzie.

Miejsce Becha zajęła śliczna suka rasy angielskiej „Linda“, którą p. Helena znakomicie udresowała. Linda wystawiała, szukała i aportowała wybornie, zdawało się, że wszystkie zalety dobrego psa posiada, a przecież w gruncie rzeczy była nie do użycia. Wadą jej było, że się bardzo szanowała a jeszcze prędzej fatygowała. Uważała za zbyteczne więcej niż cztery przepiórki lub kuropatwy wystawić — a zmęczona nie szła, lecz ciągnęła się za nogą. Nie pomogły odpoczywania i prośby, a na groźby zabierała się do domu, choćby najdalej było. Widząc nieraz istne lenistwo tej suki, dostawałem świerzbiączki w dłoni, żeby ją choć kilka minut kijem okładać, ale o tem p. Helena ani słyszeć nie chciała.

Od Lindy miałem bardzo ładnego psa. Pojętny, wszystkie usługi robił, wszystko umiał. ale też co do joty odziedziczył niecnotę swej matki, a że był bardzo ładny, nie mało pracy sobie z nim zadawałem, by go przezwyciężyć i wyrobić na psa użytecznego. Godzinami odpoczywałem, godzinami głaskałem, prosiłem, zachęcałem, pozwalałem iść za nogą, strzelałem do kszyków, bez pomocy jego ubitych — wtedy dwa, trzy kszyki aportował, ale coraz to niechętniej, wreszcie zostawał coraz to dalej odemnie w tyle, a nakoniec, gdy i tego za dużo mu było, szedł na brzeg błotka, nie troszcząc się o mnie, i najwygodniej się wylegiwał. Wszelkie moje starania okazały się bezowocne, więc w drugiem polu, widząc, że nic z niego nie będzie, palnąłem mu w łeb, i proszę mi wierzyć, że po dziśdzień tego nie żałuję.

Pies ów jest wymownym dowodem, że i psy dziedziczą nietylko fizyczne cechy, lecz także umysłowe zalety lub wady swych rodziców. To też dobrze robią ci, co genealogiczne rejestry psów zakładają, gdyż starając się o psa, trzeba zwrócić uwagę nietylko na to, by był rasowy, ale bardziej jeszcze na to, by pochodził z rodziców z dobremi zaletami charakteru i temperamentu. Rzadko się to trafia, gdy się psy, choćby rejestrowane, z nieznanych rąk nabywa, a dobrze ich pochodzenia nie zbada. Widziałem psy dobre, ale pochodziły one z naszych krajowych gniazd krzyżowanej rasy, nie miałem zaś sposobności widzieć psa dobrego, folbluta, sprowadzonego od handlarzy zagranicznych. Wszystkie psy zagraniczne, które widziałem, były ładne, ale licha warte; wprawdzie zadawalniały tam jakoś swego właściciela, lecz chyba dlatego, że nigdy psa dobrego nie miał. Kto wszakże choć raz miał psa dobrego, ten wie, co pies potrafi, ile od psa żądać można i temu lada jaki pies nie wystarczy.

Lecz porzucam rozumowania i wracam do mych wspomnień.

P. Helena — jak to już nadmieniłem — mimo powrotu p. Tyburcego, dzierżyła i nadal ster gospodarki i interesów. I jakoś poczciwy p. Tyburcy cieszył się powodzeniem, darzyło się wszystko, a on sam mawiał nieraz: „Daj Boże, ażeby tak dalej było!“ Czy przeczuwał, że nie zawsze tak będzie, że znowu się biedy na niego zwalą?

Niestety, niedługo trzeba było czekać na ziszczenie tych przeczuć. Wnet minęły tłuste lata a nadeszły chude, i wlokły się żółwim krokiem, niosąc z sobą spory żmyt niepowodzeń. Między końmi wypadek za wypadkiem, między bydłem jeszcze gorzej, w polu toż samo — i każdy następny rok przynosił większą wiązankę klęsk. Nie potrwało długo, a trzeba było rozstać się znów z dzierżawą. Wówczas pogonił los p. Tyburcego w jedną a p. Helenę w drugą stronę świata.

W parę lat później, gdy i mnie już w tych stronach nie stało, i długo żadnej wieści o dobrych znajomych nie miałem, przyniósł mi wreszcie nowinę dziennik: P. Tyburcy w wieku lat 82 przeniósł się do wieczności.. Oby mu lekką była ziemia, na której tyle przejść różnych doznał. Westchnąłem za nim i wszystkie chwile w towarzystwie jego tak przyjemnie spędzone, malowały się żywo w mej pamięci.

— A gdzie też p. Helena się obraca? — pomyślałem.

I znowu ubiegł cały szereg lat, aż pewnego razu w cygańskiej mej włóczędze po świecie znalazłem się na dworcu kolejowym we Lwowie. Zaledwie wszedłem do poczekalni, zwrócił mą uwagę na siebie piękny wyżeł. Odrywam tedy oczy od psa, podnoszę wzrok w górę i we właścicielce wyżła poznaję p. Helenę. Po tylu latach niewidzenia się tak niespodziane spotkanie! Upewniwszy się, że nie jestem w błędzie, postąpiłem z przywitaniem. Nastąpiły wynurzenia przyjaźnych uczuć i wspomnienia chwil wspólnie przeżytych. P. Tyburcemu poświęciliśmy niejedno słowo życzliwe i niejedno westchnienie. W toku rozmowy dowiedziałem się, że p. Helena przebywa w Rumunii u swego brata, który tam zadzierżawił majątek.

Wtem odezwał się za nami głos śpiewający: „Drittes Läuten! Trzecie dzwonienie! Nach Czernowitz, Suczawa — proszę wsiadać, bitte aufsteigen!“

— No, Biro, pojedziemy! Pożegnaj tego pana, bo on dobre pieski lubi — rzekła p. Helena.

Pies podniósł łeb, objął mnie poczciwym swoim wzrokiem i wyciągnął łapę na pożegnanie.

— A czy lepszy od Lindy? — zagadnąłem, ukąsiwszy się zaraz w język, aby p. Helenie przypomnieniem złej suki nie robić przykrości.

— Linda była dobra — rzekła p. Helena — wyrobiła się z latami, ale muszę przyznać, że Biro jest lepszy, lepszy nawet od Becha; sławny pies, ręczę panu.

Odprowadziłem p. Helenę do wagonu. Maszynista gwizdnął, stęknęły koła ciężkiego pociągu, i potoczyło się wszystko w daleki świat po żelaznych szynach. I znowu ubiegł szereg lat. Szron pokrył już głowę człowiekowi, przebyło się nie mało kłopotów, ale wspomnienia, zwłaszcza o stronach i ludziach miłych, zostały zawsze miłe i żywe...

Pewnego razu, dochodząc do mej sadyby, ujrzałem zdaleka na dziedzińcu obcy, nieznany mi wózek. — Kogoś Bozia sprowadziła — pomyślałem w duchu — jacyś obcy ludziska, i to zdaleka, poznaję po wózku. — Otwieram drzwi, wchodzę do zamieszkałego li przezemnie kącika, i powiesiłem rusznicę na kołku. Wbiegły pieski, witają się ze mną, ale nikt się nie zjawia, nie oznajmia przybycia. Patrzę przez okno — co obce, to obce, wózek Bóg wie skąd i czyj na podwórzu. Idę do dalszych zakątków, by odszukać kogoś z domowników i dowiedzieć się, czyj wózek na dziedzińcu, a wtem, ku memu największemu zdziwieniu, zastaję p. Helenę. Poczciwa, przejeżdżając przez okolicę przezemnie zamieszkałą i zasięgnąwszy wiadomości, gdzie mieszkam, nałożyła trzy mile drogi, by odwiedzić starego znajomego.

Kilkanaście godzin popasu spędziliśmy na przyjemnej pogadance, nawet Becho i Linda była na tapecie — a w końcu zwierzyła mi się p. Helena z nowemi nadziejami przyswojenia myśliwstwu niezwykłego pomocnika.

— Będzie temu dwa lata — są słowa jej opowiadania — wybrałam się w pierwszych dniach kwietnia konno w pole, aby przejechać klacz faworytę. Właścicielka majątku, dzierżawionego przez mego brata w Rumunii, zamieszkuje dom na wspólnym dziedzińcu z nami. Jadąc tedy pod jej pomieszkanie, widzę wychodzącego z ganku Rumuna, który chyląc się po kapelusz, coś w zanadrze schował. Zaledwie chłop oddalił się kilka kroków, wysunęła się służba drugiemi drzwiami i obstąpiła go gromadnie. Zwróciłam na niego uwagę i widzę z ożywionej pogadanki, że musi tam być coś niezwykłego. Zatrzymuję tedy klacz, i pytam porumuńsku:

— Co tam takiego?

— Wilki — odezwało się kilka głosów.

O, jak wilki, to i ja tam być muszę. Skręciłam kobyłę i dojechałam do nich.

— Gdzie te wilki? — pytam, lecz nie skończyłam jeszcze pytania, gdy Rumun nastawił ku mnie dwoje malutkich czarnych stworzeń. Nie widziałam jeszcze małych wilcząt, myślałam tedy, że to czarne psięta, ale chłop zapewnił, że to są wilki, że je dziś zabrał w lesie z gniazda, i że stara wilczycę widział.

— A co chcecie z niemi zrobić? — zapytałam.

— Sprzedać — odrzekł.

Zebrała mnie tedy chętka, i za kilka groszy nabyłam wilczęta. Co tu było jednak z tem biedactwem robić? Maleństwo ślepe, może liczą dzień, a może dwa dni życia. Zabrałam je do mego pokoju z postanowieniem wykarmienia. Ale trudna rada! Otwieram mordeczki, zalewam z łyżki mlekiem — nie idzie, wilki nalanego w pysk mleka nie umiały połykać. Rozesłałam po całej wsi, czy nie ma gdzie suki, którąby miała szczenięta, ale nic z tego — jedna ma

już duże psy, a dwie będą kiedyś miały. Zachodzę w głowę, co robić. Biedne wilki! Drugi dzień prawie nie jedzą, zcieńczały — pozapadały im się boki. Idę wreszcie po koncept do głowy, biorę spód maszynki od kawy, lejkę owijam watą, przymocowuję po wierzchu nitką, nalewam świeżego mleka, i zmoczywszy niem poprzód dobrze watę, wkładam lejek wilkowi do pyska. Na razie nie bardzo mu to było wygodnie, w kilka jednak sekund wilczątko poczęło ssać i wydudlał połowę maszynki mleka. Nakarmiwszy jednego, zabrałam się do drugiego, zaaplikowałam mu lejek do pyska. Nie chciał się na to godzić, wreszcie pogodził się z losem i nadudlał się mleka, jak bąk. Uradowana, nabrawszy pewności, że wykarmię wilki, pokładłam je na przygotowanem dla nich legowisku; przycisnęły się jak grudki jedno do drugiego, i pozasypiały najspokojniej. Nie miałam już z niemi więcej kłopotu, podaną maszynkę z mlekiem brały coraz chętniej. Trzy razy dziennie nakarmione do sytu, leżały spokojnie.

W kilka dni ślepce przewidziały, i w krótkim czasie nauczyły się jeść z miseczki. Chowały się tak jakiś czas w pokoju, a potem ulokowałam je w stajni końskiej, i zatrzymując sobie wyższy nadzór, oddałam je pod opiekę młodego furmana, po którym widziałam, że się zajmie szczerze wilczkami i krzywdy im wyrządzić nie pozwoli. Niebawem wyrosły wilki na słuszne już pieski, a w miarę ich rozwijania, poświęcałam im coraz więcej czasu i starań. Ciągałam je ciągle z sobą na sznurkach, przyzwyczajając, ażeby jak pieski koło nogi chodziły. W stajni obchodzono się z niemi jak najlepiej, głaskano i bawiono się z niemi ustawicznie. Starałam się o to, ażeby w dzień, o ile możności, nie spały, tylko w nocy, a wtedy brały ich chłopaki stajenne między siebie. Zawsze obawiałam się, że je chętka zbierze drapnąć do lasu, nigdy jednak nie zauważano, by zdradzały chęć uciekania. Chodziły po podwórzu, wylęgiwały się do słońca pod stajnią, wchodząc co chwila do stajni, gdzie najchętniej przebywały w towarzystwie ludzi. Do psów bardzo się garnęły, ale psy pewną ku nim niechęć objawiały, i nie dziw, bo na folwarku były same stare psy, a jak wiadomo, pies stary niechętnie z psięciem się wdaje. Postarałam się tedy o równego im wiekiem ruchliwego i ciekawego kundysa do towarzystwa. I ten smarkacz z początku cofał się od wilków, ale w krótkim czasie, że dostawał tylko razem z niemi jeść i z niemi tylko w stajni przebywał, z czem mu dobrze było — zbratał się z wilkami i bawił się chętnie z niemi. Przy tych zabawach wilki zawsze mu skórę naciągnęły, z czasem jednak i kundysina nauczył się odgryzać na dobre i wilkom skórę naciągał.

I tak wilki moje doskonale się chowały, skończyły już cztery miesiące, przybrały dawno sukmanę nową, porobiły się z nich wcale przystojne psiaki.

Razu jednego wprowadzono obce konie do stajni. Wilki poznały, że to obce przybysze, które nie powinny się tam znajdować, i zaczęły się z niemi poznawać i obwąchiwać. Wówczas, nie przyzwyczajony do wilczych karesów koń palnął podkową wilka w łeb i zabił go na miejscu.

Została tylko wilczyca. Obawiałam się, ażeby i jej podobny los nie spotkał, zabrałam ją tedy do dworu i oddałam się zupełnie jej wychowaniu. Całemi dniami była mi nieodstępną towarzyszką; śniadanie, obiad i kolacyę jadła ze mną, chodziła ze mną, jeździła ze mną, spała w moim pokoju, a często i w łóżku ze mną. Poczciwy mój Biro, nie inaczej tylko z zazdrości, nie lubił jej, a przynajmniej nie chciał się z nią bratać. Kundysa, który się razem z nią w stajni chował, najlepiej lubiła; to też sprowadzałam ich często razem, a na dworze zawsze razem chodził z „Kują“, bo tak wilczycę nazwałam. Moja Kuja chowała się tedy doskonale, i do roku nie zdradzała najmniejszej dzikości; dorosła ogromnych rozmiarów, imponująco piękna sobaka się z niej zrobiła.

Wszystko było dobrze, gdy nagle tej wiosny zaczęły mnie dochodzić pogłoski i skargi, że Kuja dusi gęsi po wsi. Zaprzeczam tym oszczerstwom stanowczo, będąc pewną jej niewinności, bo wilczyca dniem i nocą zawsze była ze mną. Ale skargi ponawiają się od czasu do czasu, że przecież wilczyca dusi gęsi, a napędzona, ucieka wprost do ogrodu i dworu. Zastanawiam się nad tem i przychodzi mi na myśl, czy też Kuja nie robi wycieczek przez otwarte okno, przy którem całe lato sypiać lubię.

Jednego wieczora po kolacyi przychodzę z Kują do mego pokoju, i swoim zwyczajem otworzyłam okno. Zaledwiem się położyła, doleciał mnie ze wsi krzyk gęsi przez otwarte okno. Spojrzałam na Kuję. Spała najspokojniej na swem legowisku. Pomyślałam więc: pewnie tam jakieś psisko niepokoi gęsie chłopskie, a jutro będą znowu posądzać moją Kuję, że to ona. Dla wszelkiej pewności chciałam zamknąć okno, ale byłam za leniwą, aby wstać z łóżka. Po chwili zgasiłam światło i zasnęłam.

W nocy niezwykły jakiś łomot zbudził mnie ze snu; usłyszałam, że Kuja niepokoi się na swem legowisku, chcąc się więc przekonać, co mogło być powodem łomotu, zaświecam świecę i rozglądam się po pokoju. Nic obcego nie widzę, wszystkie sprzęty na swojem miejscu; wstałam tedy, zamknęłam okno, i położywszy się, zasnęłam na nowo. Dopiero rano wykryła się przyczyna łomotu. Patrzę na wilczycę, a ona ma oczy jakieś osowiałe, wołam ją, nie przychodzi, idę do niej i widzę, że tylna noga coś w nieładzie. Przypatrzywszy się bliżej, rozpoznałam, że złamana powyżej kolana, ale tak szkaradnie, że tylko na żyłach i skórze się trzyma. Domyśliłam się zaraz, że nie inaczej, tylko musiała w nocy robić wycieczkę, a wróciwszy ze złamaną nogą i skacząc przez okno, upadła biedna i narobiła łomotu. Wkrótce też doniesiono mi, że wilczyca poturbowała krzykliwe gęsi we wsi, i że chłop ściągnął ją kijem, nie wiedząc nawet o tem, że jej nogę złamał.

Zabrałam się do kuracyi, poskładałam kości, o ile mi się zdawało najlepiej, ujęłam nogę w leszczoty z łubu i obandażowałam. Kilka dni biedna Kuja słaba była bardzo, ale do czterech tygodni kość prawie się zrosła, tylko stawać na nogę jeszcze nie mogła. Z każdym dniem było jej lepiej, wreszcie wyzdrowiała, choć noga zawsze została zgrubiała i zawsze na nią utyka. Zdaje się, że wyleczyło ją to od nocnych wycieczek.

Ani Kuja z psami, ani też psy z nią wielkiego sojuszu nie zawierają, dziwnie jednak oddziaływa na nią niezgoda psów, a jest ich dość na folwarku. Jak tylko Kuja zasłyszy, że psy się żrą, nie podobna jej utrzymać przy sobie, nawet z pokoju wypuszczać ją muszę. Każdym razem biegnie jak najprędzej na plac walki, zajmuje stanowisko na kilka kroków, siada na ogonie, i z widocznem zadowoleniem przypatruje się zapasom, nie biorąc w nich udziału.

Kilka tygodni temu, byłam w izbie i Kuja ze mną, drzwi stały otworem, wtem słyszę, że na dziedzińcu zaczęły psy swarę. Kuja wybiegła, ja za nią; ogromne dwa psy żrą się nielitościwie. Kuja swoim zwyczajem zajęła już obserwacyjne stanowisko, siedząc na ogonie. Ja usiłowałam psy rozpędzić, lecz nie mogąc tego sama dokonać, zawołałam dwóch ludzi do pomocy, i kazałam lać wodę. Nic to nie

pomaga; psy żrą się coraz zajadlej. Każę tedy chłopcom chwycić psy za ogony, aby je rozerwać. Chłopcy na komendę spełnili rozkaz, ciągną za ogony co sił staje, ale nie mogą psów rozerwać; szamocąc się jednak, zbliżyli się do Kui. Kuja, niezadowolona widocznie, że chłopcy się między psy wdają, wstaje, podchodzi do jednego z chłopców i łap go z tyłu za szarawary. Ten uczuwszy, że ktoś mu się dobiera do oficyn, ogląda się, a zobaczywszy Kuję, puszcza psi ogon i chce frontem stanąć do niej. Zdawało mi się, że Kuja tylko głową trochę ruszyła, a chłopak stał już znowu frontem do psów. Powtórzyły się te obroty to w jedną, to w drugą stronę trzy razy, chłopak wreszcie zaambarasował się strasznie, ale i mnie to obeszło. Zbliżyłam się tedy do Kui, krzyknęłam raz i drugi, a że nie chciała szarawar puścić, ściągnęłam ją kijem z całej siły. Kuja jeszcze raz szarpnęła, widać ze złości albo z bólu, bo szarawary chłopca doznały jeszcze większego szwanku i zatrzymały mu się aż na kolanach, poczem wilczyca odskoczyła na parę kroków, i zająwszy zwyczajną pozycyę, przypatrywała się dalej psim zapasom.

Wreszcie udało nam się psy rozpędzić. Kuja zadowolona, truchtała idąc za mną do pomieszkania, stawała jednak co chwila, przypatrując się psom, czy nie wznowią zapasów".

Na tem skończyła swe opowiadanie p. Helena. Z dalszych szczegółów mogę dodać, że wilczycy podawała p. Helena na karmę mięso i inne potrawy, a przeważnie kuleszę kukurudzianą z mlekiem, którą bardzo chętnie jadła. Podówczas liczyła Kuja niespełna dwa lata, była większą od psa z góry św. Bernarda i w dobrem ciele.

Co się z nią stało, czy dotychczas żyje, nie wiem. Lat bowiem już kilka upłynęło od owego widzenia się i opowiadania p. Heleny.

Nie wątpię, że p. Helena jest zawsze zwolenniczką „Łowca“ — proszę przeto, jeśli ustęp ten rąk jej dojdzie, aby nam opowiedziała dalsze, zapewne bardziej zajmujące szczegóły o Kui.

Ago.

DO ŁOWCÓW!

Gdy w głębi kniej głos trąbki drży
I psiarni jęk wśród jarów gra,
A pewna broń w mem ręku skrzy,
I łowcza krew w mem sercu drga —
Tom wtedy pan! tom wtedy król!
Wśród naszych skał i kniej i pól!

Bracia! Wszak sami przyznać musicie,
Że pełne czarów jest łowca życie.
Czyż są szczęśliwsze w tem życiu lata,
Kiedy z daleka od zgiełku świata,
Pędząc przez pola, knieje i góry,
Życie na łonie wiedziem natury?

Wy! co was z domu wygania nuda,
Co z nią gdzieś w obce pędzicie kraje,
Co obce tylko wielbicie cuda,
I obce tylko znacie zwyczaje —
Dalej! Chwytajcie strzelbę do ręki!
I z nią biegnijcie w ojczyste bory,
Raz ich posłuchać szumnej piosenki
I na podjazdach spędzać wieczory,
Albo na tokach rozkoszne ranki;
Lub idźcie z wyżłem pomiędzy trawy,
A chcąc myśliwskiej użyć hulanki,
Puśćcie się czółnem na nasze stawy!
A pewnie małą chwilę znużenia
Tej nowej dla was myśliwskiej męki,
Suto opłacą nowe wrażenia,
Ojczystej ziemi rodzime wdzięki!
Bo dziwnie jakoś to dzikie życie
Podnosi ducha — choć ciało trudzi,
I żywsze serca pobudza bicie
Miłość do piękna, przyjaźń do ludzi.

O zysk nam obce brudne wyścigi,
Więc nas nie dotkną światowe chucie,
Obcemi są nam nędzne intrygi,
Gdzie ginie honor, wiara, uczucie —
Swobodne myśli, wzniesiona głowa,
Poczciwe serce, pełne zapału,
I do pomocy ręka gotowa,
Sumienie czyste, gdyby z kryształu,
Walka z trudami, a spokój ducha —
Takich to haseł myśliwy słucha.

Hej, ręka w rękę! Hej, wszyscy społem
Wśród zgniłych prądów, zgubnych oparów,
Kroczmy z nietkniętem sercem i czołem,
My, z pod zielonych dziatwa sztandarów!

Wesołe trąbki i huczne rogi!
Hej dalej wraz zabrzmijcie w chór!
Niechaj aż w niebios uderzy progi,
Niech aż w podstawach zadrży ten bór!
Niech górskie echa w dal niosą wieść —
Że żyją łowcy i łowów cześć!

Aleks. Przedrzymirski.

Łowiectwo na powszechnej Wystawie krajowej.

III.

Społeczeństwo ludzkie objawia rozmaite gusta, gdy idzie o formę rządu i urządzenia państwa — ale w świecie zwierzęcym, począwszy od ula pszczelnego, uznawanem bywa jeszcze zawsze królowanie — królowanie siły i piękna. Niech się więc nikt nie dziwi, że wszedłszy między niezliczone parostki i wieńce pawilonu łowieckiego, nie będziemy szukali żadnego prezydenta, lecz pozwolimy sobie odrazu proklamować króla.

Otóż królem między parostkami jest para sarnich rożków, pochodząca z Wielkopolski, a będąca własnością ks. Adama Sapiehy. Są to myłkusy, składające się z dwóch dość silnych, na 8 centym. długich rożków, wolnych od wszelkich rozgałęzień, a skręconych śrubowato, całkiem symetrycznie, jak trybuszony, każdy odwrotnie od środka na zewnątrz, tak, że przypominają formę rożków baranich. Jest to chyba unikat, któremu podobnego trudnoby było wynaleść.

Inną rzadkość szczególną przedstawia cały kozioł, przysłany przez hr. Józefa Potockiego. Jest on normalnie rozwiniętym szóstakiem, parostki ma obsadzone dość bujnemi perłami, ale odchylone od siebie tak bardzo, że odległość obu szczytów w górze wynosi 37·5 centym.

Najdłuższemi z rożków sarnich na Wystawie są parostki wystawione przez p. Dzikowskiego, mierzą bowiem 32 centym. i odznaczają się odrostkiem ocznym, oraz radzcy Klusika, mierzące 31 centym., także dość szeroko rozstawione, które znajdujemy w cennym zbiorze 36 parostków tegoż samego wystawcy. Inne rożki, będące własnością p. Dzikowskiego, celują niezwykłą grubością, przechodzącą 10 centym. w obwodzie.

Prześliczne, silne parostki, o ciepłem, naturalnem zabarwieniu brązowem, symetrycznie, łopatowato rozszerzone, a mające przeszło 6 centym. w obwodzie, wystawił p. J. Sawicki, leśniczy z Kozłowa. Podobny myłkus sarni, łopaciarz, znajduje się także w zbiorze rożków Pileckiego, u którego zwracają na siebie również uwagę myłkusy p. K. Pawlikowskiego, z kozłów zabitych w Bereżnicy. Jeden przedstawia parostki, gdzie lewy rożek silnie rozwinięty liczy 6 końców, prawy rozrośnięty w dwie tyczki, każda o dwu końcach; u drugiego myłkusa jest jeden rożek długi z trzema końcami ku środkowi łukowato zgięty, drugi jest istnym krzakiem o trzech silnych końcach, wyrastających wprost z róży.

Z Mokrzyszec koło Słotwiny wystawił p. J. Kuhn ładną głowę z parostkami perukowemi. W zbiorze bar. Brunickiego widzimy znów prześliczną głowę kozła, który ma tylko jedną różę na szwie czaszki i jeden silny róg, okryty jeszcze scypułem. Okaz to bardzo oryginalny. Obfitością róż natomiast odznacza się główka kozła, będąca włosnością p. Szczepańskiej. Są tam aż cztery oddzielne róże z odnośnemi rożkami — jeden z nich krótki, okryty scypułem. Na uwagę szczególną zasługują dalej: głowa kozła z rożkami wyrastającemi z róż normalnych tak, że jeden przegina się po za drugi — oraz druga główka, na której prawy rożek jest normalny, a z lewej róży wyrasta odrazu pięć końców. Obie te główki są własnością p. Janickiego.

Ze zbioru ks. Windischgraetza jest do zanotowania szczególny myłkus, dziesiątak, mający 28 centym. długości. Pochodzi on z puszczy Niepołomickiej.

Pan Z. Skrzyński przedstawił również myłkusa, dziesiątaka, z pięknem uperleniem, a pan Adam Sierakowski z Waplewa parostki, w których jeden rożek jest łopatowato rozpłaszczony, a drugi z silnemi czterma końcami.

Wielce oryginalnemi są parostki gładkie, symetrycznie zakrzywione, prawie tak, jak u kozicy, tylko odwrotnie, z góry na dół i ku przodowi. Jest to własność p. Karola Skowrońskiego, który wystawił w ogóle całą kolekcyę 105 par myłkusów. Kolekcya ta, znajdująca się na galeryi pawilonu łowieckiego, jest za 840 złr. do sprzedania.

O wiele rzadszemi od myłkusów sarnich są myłkusy jelenie, zwierzęta te bowiem mniej są tkliwe na wpływy zewnętrzne, niż kozły, i dlatego w wieńcach ich anormalności dość rzadko się przytrafiają. Wystawa lwowska obfituje wszakże i w anormalne wieńce jeleni.

Najwspanialszemi są tu okazy, wystawione przez p. Bronisława Słoneckiego, szczególniej duży łopaciarz, czternastak, bez ocznych końców, tudzież dwa szesnastaki.

Innego łopaciarza, t. j. wieniec o tykach niemal łosiowato rozpłaszczonych, znajdujemy w pięknym zbiorze wieńców, wystawionych przez p. Ciehlarza ze Spasa. Wisi tam i pyszny, kolosalny szesnastak, o tak silnych końcach, jak nawet między karpacko-węgierskiemi jeleniami rzadko się zdarza.

Prześlicznym w barwie, uperleniu i silnym rozwoju jest wieniec jelenia, normalnego dwudziestaka, którego w głębi gór sonockich, w Wetlinie, ubił p. Adam Fedorowicz. Wysokość tych rosochów mierzy 95 centym., rozpięcie w górze 85 centym., grubość tyk przeszło 22 centym.

Siłą i rozwartością tyk odznaczają się również wieńce jelenie, wystawione przez A. Dzikowskiego, radcę dworu Glanza i p. Kazimierza Rudnickiego — lecz jeśli idzie o grubość tyk, to podobno najgrubsze spotykamy w wieńcu, wystawionym przez p. Wojciecha Starzyńskiego, dochodzi ona tam bowiem do 33 centym. w obwodzie.

Wzorowemi, co do normalnego układu, piękności pereł i ubarwienia są: dwunastak i szesnastak, oba z gór Weldzirskich, ubite przez hr. St. Szembeka, oraz czternastak i szesnastak, pochodzące z gór Nadwórniańskich, a wystawione przez p Kreisera.

A skoro już jesteśmy przy ozdobach górskich kniei, zrobimy odrazu statystykę r y s i ó w, które pawilon łowiecki we wnętrzu swem zgromadził. Jest ich ogółem 13 sztuk. Największy z nich pochodzi ze Spasa — Towarzystwo lisowickie dostarczyło 4 sztuki, z których dwie ubił Z. Pietruski, jedną Jul. Bielski, a jedną St. Piegłowski — z Niebyłowa jest dwie sztuki, które padły pod strzałami Andrzeja ks. Lubomirskiego i Zdzisława Skrzyńskiego.

Oryginalnością swojego rodzaju jest ryś, samica, zabita koło Turki, którą przysłał kapitan Strański z Sambora. Ubitą została bez uszu, i tak okaleczona prezentuje się na wystawie. Przy jakiej sposobności uszy utraciła, można się tylko domyślać; prawdopodpbnie schwytana jako kocię, po-

stradała je pod kozikiem czy nożycami chłopskiemi, trudno bowiem okaleczenie to przypisać walkom w czasie rui, gdyż w walkach tego rodzaju płeć żeńska bywa szanowaną.

Żbików jest także kilkanaście, a ciekawym mięszańcem żbika i kotki domowej ma być okaz, wystawiony przez ks. Andrzeja Lubomirskiego. Czyż to istotnie mięszaniec? Białe plamy na nogach i podgarlu, względnie mała głowa i słabe szczęki, barwa futra bardziej popielata z czarnemi pręgami i łatami, nie mająca w sobie tego żółtawo - szarego tonu, który barwę żbika charakteryzuje, kusi nas przypuszczać, że to nie jest mięszaniec żbika i kotki, lecz dobrze na wolności wyrosły kot domowy zdziczały, któremu tylko preparator nie żałował kłaków, ażeby go wydąć, wydłużyć i o ile możności na żbika pasować.

Z okazów górskiej fauny należy się jeszcze słowo głuszcom. Szesnaście sztuk kogutów pochodzi z gór Wełdzirskich, gdzie padły od strzałów Stefana hr. Szembeka i Stanisława hr. Stadnickiego, a jeden ubity przez E. Oczosalskiego, dalej głuszce pochodzące z polowań członków Towarzystwa św. Huberta, i dwa nizinowe, jeden ks. Andrzeja Lubomirskiego, ubity w Szepetówce na Wołyniu, drugi zaś ubity przez Wład. Mniszcha w Rozwadowie, majętności ks. H. Lubomirskiego.

Ciekawą kolekcyę, tyczącą się życia i żywienia głuszca wystawił St. hr. Szembek w słoiku tuż okok kolekcyi zwierzęcych pomiotów. Jest to spora ilość przetrawionego igliwia drzew iglastych, t. zw. „czatyna“ i mnóstwo drobnych kwarcowych kamyczków, które znaleziono w żołądku głuszca.

Wystawione cietrzewie pochodzą prawie wszystkie z Derewni, majętności p. T. Starzyńskiego w Żółkiewskiem.

Tu wypada nam jeszcze zwrócić honor jednemu głuszcowi, którego dyablik drukarski w pierwszym zaraz artykule o wystawie na cietrzewia przeobraził Idzie tu o ten piękny egzemplarz wełdzirski hr. Szembeka, który w wybornej pozie tokującego koguta na cisie w pośrodku sali łowieckiej został umieszczony. Czarny on jak dyabeł i nikt zaiste nie mógł go już oczernić, że jest cietrzewiem — chyba tylko drugi dyablik — drukarski. A cis widocznie wziął sobie tę injurię do serca, bo od czasu pierwszej relacyi pożółkł jeszcze bardziej, zesechł i zawiódł sangwiniczne nadzieje tych, którzy przypuszczali, że może się przyjmie na nowem swem stanowisku cywilizacyjnem. Wiele trudu poniosła i wiele zasługi położyła p. Zofia z Załuskich Wysocka w Jasienicy, kazawszy ten rzadki okaz na plac Wystawy z korzeniami i grudą zamarzłej ziemi przystawić, ale reprezentantowi wymierającego rodu szpilkowców wydała się widocznie zbyt krzykliwą i niezdrową nowoczesna cywilizacya, bo chwilę tylko patrzył na nią zielonemi gałązkami i zamarł na zawsze...

O INTELIGENCYI ZWIERZĄT.

„Przegląd weterynarski“ zamieścił wykład Dr. A. Walentowicza z „psychologii zwierząt“, z którego pozwalamy sobie powtórzyć niniejszem znaczniejsze ustępy.

„Już niektóre czynności, nawet u najniżej norganizowanych zwierząt, jak wymoczków, świadczą o istnieni u nich pewnych władz umysłowych, jak tego dowodzą zdumiewające zjawiska, spostrzegane przez Engelmanna u Arcelli. Stworzenia te, należące do ameb, posiadają jądra i wydzielają skorupę wypukło-wklęsłą. W pośrodku wklęsłej powierzchni znajduje się otwór, z którego występują nibynóżki i ukazują się na krawędzi skorupy, jako jasno-szkliste wyniosłości. Gdy kroplę wody, zawierającą Arcelle, przeniesiemy pod mikroskop, daje się często zauważyć, że niektóre z tych żyjątek, że tak powiem, padają na grzbiet, t. j. powierzchnią wypukłą dotykają podstawy, tak, że występujące u krawędzi skorupy nibynóżki, nie mogą znaleźć nigdzie punktu oparcia. Wtedy widzieć można w protoplazmie po jednej stronie w pobliżu krawędzi powstające pęcherzyki gazu, a wtenczas ta strona staje się gatunkowo lżejszą i podnosi się, poczem zaraz staje zwierzątko na przeciwległej krawędzi. Teraz już udaje mu się przyczepić do podstawki nibynóżkami i obrócić się tak, że wszystkie u krawędzi wystające nibynóżki dotykają podkładki. Skoro to nastąpiło, wciąga w siebie napowrót pęcherzyki gazu i poczyna pełzać swobodnie. Gdy kroplę z Arcellami przeniesiemy na dolną powierzchnię szkiełka pokrywkowego komory gazowej, wówczas Arcelle, dzięki sile ciężkości, zbierają się na dolnej kropli. Jeżeli nie znajdują tu punktu oparcia, to w takim razie wydzielają duże pęcherze gazu, przezco stają się gatunkowo od wody lżejszemi i podnoszą się ku górze w kropli wody. Jeżeli zaś przybywają do górnej powierzchni szkła w takiem położeniu, że nie mogą się oprzeć nibynóżkami, zmniejszają wówczas na przemian pęcherze gazu z jednej strony lub zwiększają je z drugiej, niekiedy także jednocześnie z jednej zmniejszają a z drugiej zwiększają, aż wreszcie dotkną się zwierzątka brzeżkiem skorupy powierzchni szkła, i są w stanie się obrócić. Gdy ten cel został osiągnięty, pęcherze gazu znikają, a zwierzęta mogą się poruszać, pełzając po powierzchni szkła. Gdy przez ostrożne dotknięcie igłą cienką odrywamy je od powierzchni, padają one znów naprzód na dolną powierzchnię kropli, i znów wydzielają pęcherzyki gazów, następnie podnoszą się i tak dalej. Jakimkolwiek sposobem będziemy nadawali Arcellom niewygodne położenie, zawsze potrafią one za pomocą wydzielania gazów w odpowiedniem miejscu i w odpowiedniej ilości osiągnąć położenie właściwe, by módz się naprzód poruszać. Gdy ten cel został osiągnięty, natychmiast znikają pęcherze. „Trudno zaprzeczyć — powiada Engelman — że fakta te dowodzą procesów psychicznych w protoplazmie“.

Podobnie rzecz się ma z większością bezkręgowych, jak skorupiaków, pajęczaków i owadów, u których występuje już wybitnie pamięć, stanowiąca, jak wiadomo, jeden

z głównych składników ducha zwierzęcego, n. p. u ślimaka, który dokładnie pamięta miejsce swego stałego zamieszkania. Przyznać jednak trzeba, że przeważnie u wymienionych zwierząt czynności ich są tego rodzaju, iż raczej odnieść je należy do czynności instynktowych, aniżeli do duchowych. Wyjątek pod tym względem stanowią pszczoły, mrówki, oraz niektóre chrząszcze. Pszczoły n. p. okazują wysoki dar poznawania, albowiem nietylko odróżniają swe towarzyszki, lecz także znają pszczelnika i nie kłują go wcale. Ślimaka, który wpełzł przypadkiem do ula, obmurowują natychmiast woskiem, aby im szkodzić nie mógł. Wyżej jeszcze nierównie stoją mrówki. Ich bowiem podziwienia godna organizacya jak podział na kasty, złożone z żołnierzy i robotnic, ich walki z zastosowaniem pewnej taktyki wojennej, jak stawianie czat, branie żywcem nieprzyjaciół do niewoli i używanie tychże do najcięższych robót, są powszechnie znane.

Także inne czynności zdradzają wysoką inteligencyę. Już samo badanie gruntu pod budowę nowych mrowisk przez *ad hoc* wydelegowaną komisyę, a po uznaniu za odpowiednie zakładanie nowego gniazda. Tak samo pielęgnowanie słabych lub rannych mrówek, utrzymywanie zwierząt domowych, jak mszyc, które żywią i utrzymują starannie, aby w razie potrzeby służyły im za pokarm w czasie niedostatku, aby dostarczały im soku, który wydobywają z kałduna tych zwierząt, łechcąc je rożkami. Pamięć jest u nich także rozwinięta, albowiem zauważano, że część stada, oddzielona przypadkowo od głównego mrowiska przez dłuższy czas, została gościnnie przyjętą, gdy tymczasem inne obce, z sąsiednich stad przypadkowo zabłąkane mrówki, były natychmiast wypędzane.

Także między chrząszczami napotykamy wiele inteligencyi, n. p. chrząszcze grabarze zachowują się nadzwyczaj sprytnie i rozumnie przy zakopywaniu padlin. Zbierają się bowiem gromadnie po znalezieniu trupa zwierzęcego, poczem obchodzą go i oceniają wielkość; następnie badają grunt, i jeżeli się ten okaże za twardy, przenoszą trupa na inne do zagrzebania odpowiedniejsze miejsce.

Wspomniane pokrótce fakta zmuszają nas do przypuszczenia, że pszczoły, mrówki, jakoteż i chrząszcze obdarzone są władzą myślenia, albowiem nietylko umieją zastanowić się i rozumować nad swemi czynami, lecz nadto posiadają środki wzajemnego udzielania sobie myśli. Szczególniej objawy towarzyskiego życia każą się domyślać istnienia u nich pewnej mowy, opartej na znakach i będącej naturalnie produktem znacznie rozwiniętych władz umysłowych.

W obec tego tak wielkiego psychicznego rozwoju u owadów, jakżeż małym przedstawia się stan duchowy u najniższych kręgowców, jak u ryb, płazów i gadów, u których jedynie można zaznaczyć pamięć i znajomość czasu, n. p. ryby sztucznie karmione przychodzą zawsze w to samo miejsce i dokładnie o tym samym czasie; u żółwia, jak sprawdzono, pamięć sięga do roku. Wszystkie zaś inne czynności, jak wybór i odróżnianie pokarmów, oraz unikanie grożącego niebezpieczeństwa, za instyktowe uważać należy.

Znacznie już wyżej umysłowo rozwinięte są ptaki. Podziwienia godną u nich jest bowiem pamięć oraz zdolność mierzenia czasu. Dzięki więc tym zdolnościom, wyuczają się niektóre z nich jak kanarki, kosy wyśpiewywać nawet długie strofy, przyczem nadmienić trzeba, że muszą one nietylko melodyę zachować w pamięci, lecz także celem jej dokładnego oddania zachować drobne ustępy czasu. Dowód pamięci składa kogut codziennie, zwiastując nam nadchodzącą jutrzenkę. Oprócz tego wiele ptaków wyucza się łatwo różnych sztuczek, które oprócz naśladownictwa zdradzają także pewien zasób inteligencyi. Zdolność wymawiania wyrazów u papug, szpaków i kosów polega także na darze pamięci i naśladownictwa. Pominąć także nie można podziwienia godnej pamięci lokalnej u ptaków przelotnych, które z największą łatwością po powrocie z wędrówek odnajdują dawne siedziby. Mniej zaś zdaje się być wykształconą pamięć liczebna u ptaków. Jedynie bowiem sroka, jak się przekonano, umie liczyć do czterech. Mianowicie, jeżeli ją podchodzi pięciu myśliwych, to się kryje, i wychodzi dopiero wtedy, gdy zauważy, że jest czterech, t. j. że wszyscy odeszli i zwykle naturalnie pada pod strzałem piątego (?).

Najwyższego rozwoju inteligencyi dosięgają zwierzęta ssące, chociaż stopniowania nie brak w tej gromadzie. Najniżej pod względem hierarchii psychicznej stoją zwierzęta przebywające w morzu, jak wale, wieloryby, delfiny, najwyżej zaś koń, słoń, pies i małpa, chociaż wielbłądowi i kozie pewnych zdolności odmówić nie można, jakoteż i bobrowi. Nawet osioł osławiony nie jest tak głupi, jak raczej uparty, w skutek czego gwałtem nic z nim zrobić nie można. Jeżeli się jednak z nim obchodzi cierpliwie i łagodnie, staje się pojętnym, a nawet wielu sztuk wyuczyć się może.

Z tej grupy zwierząt koń odznacza się nietylko rozsądkiem, lecz także doskonałą pamięcią. Wiadomo bowiem, że raz przebywszy pewną drogę, już ją sobie zapamięta lepiej nieraz, aniżeli jego pan lub woźnica. Znane są przypadki, w których konie oddane samym sobie, zaprowadziły zbłąkanych jeźdźców do domu. Przechodząc przez nieznane sobie drogi lub mosty, stąpają konie uważnie, czy ich ciężar ciała ostanie wytrzymany. Kto przypatrzył się koniom zakopańskim, idącym po skałach w górę lub schodzącym ze stromych upłazów, musi im przyznać wiele rozsądku i roztropności. Oprócz tego posiadają konie wrodzone zdolności, które dozwalają im wyuczyć się wielu sztuk, przyczem rozpoznają doskonale głos ludzki i sygnały trąbek wojskowych. Do przymiotów konia zaliczyć trzeba także odwagę, on bowiem jeden ze wszystkich zwierząt bez trwogi wśród grzmotu armat i gradu kul niesie swego pana do chwały lub śmierci, podczas gdy nawet najwierniejszy pies zmyka z pola bitwy; przytem jest tak uważny, że biegnąc do ataku, prawie nigdy nie nastąpi na rannego człowieka. Arabowie opowiadają, że nierzadko ich konie unosiły w zębach z pola bitwy rannych swych panów. Wprawdzie mógłby ktoś zarzucić na podstawie codziennego spostrzegania, iż koń jest raczej bojaźliwym, aniżeli odważnym, albowiem szczególnie młody zatrzymuje się, a nawet odskakuje przed błahemi przedmiotami. Otóż nie brak mu odwagi, lecz z powodu tego, że jest krótkowidzem, co naukowo sprawdzili okuliści Everbusch i Berlin, zatrzymuje się koń przed nieznanym mu i nagle przed jego oczy występującym przedmiotem. Lecz skoro tylko oswoi się z nim, szczególnie jeżeli go doprowadzimy i dozwolimy mu przypatrzyć się nowemu przedmiotowi i obwąchać go, to więcej go się nie boi i nie unika.

Po koniu pod względem rozwoju władz psychicznych idzie słoń. Roztropność tego zwierzęcia stała się przysłowiową, a pamięć, zdolność pojmowania, odróżniania i poznawania wysoko u niego rozwinięte, muszą być uważane za objawy duszy zwierzęcej. Wykonywa on bowiem ze zrozumieniem i nieraz samodzielnie nietylko najgrubszą mechaniczną pracę, lecz także czyni zadość nawet najdelikatniejszym wymogom człowieka, przytem rozumie jego gesty i słowa. Pamięć u niego jest wielka, znane bowiem są przy-

padki, że słoń zbiegły do puszczy jeszcze po 15-tu latach poznał swego dozorcę.

Ze wszystkich jednak naszych zwierząt domowych pod względem psychicznym najinteligentniejszymi są psy, szczególniej należące do ras szlachetnych, jak psy bernardyńskie, setery, wyżły i pudle. Posiadają one bowiem nietylko pamięć czasową, lokalną i przestrzenną, lecz także odznaczają się zdolnością kształcenia się, co stanowi *criterium* ducha. Dzięki tym zdolnościom, można ich łatwo przyuczyć do ratowania tonących, noszenia przesyłek, wyszukiwania zwierzyny, jak również różnych sztuczek, jak skakania, tańczenia, służenia i t. p. Oprócz tego psy rozumieją doskonale nietylko gesty człowieka, lecz także wyrazy, a nawet całe zdania. Psy dobrze i troskliwie wychowane patrzą zwykle w oczy swemu panu, i starają się wyczytać jego myśli i odgadnąć jego usposobienie. Jeżeli wzrok ich pana wydaje im się smutnym, wtedy mu się nie naprzykrzają, jeżeli zaś znajdą go wesołym, wtedy cieszą się, skaczą i wywijają z radości ogonem. Z niewielu wskazówek wnioskują o zamiarach swych panów, i stosownie do tego działają, n. p. jeżeli bierze laskę i kapelusz, wiedzą, że idzie na przechadzkę, jeżeli zaś strzelbę, to na polowanie. Pokazany pudlowi kapelusz lub laska z poleceniem szukania pana, jest rozkazem, który on natychmiast wykonywa, a wynalazłszy, wskazuje ukrycie. Podobnych i innych przykładów możnaby tysiące przytoczyć, świadczących u tych zwierząt o zespalaniu pewnych wyobrażeń.

Najwyżej w hierarchii ssaków pod względem umysłowym stoją małpy, u których oprócz nadzwyczajnego daru naśladowania i zdolności wyuczania się różnorodnych sztuk, a nawet wprost usług, jak n. p. otwierania drzwi, wprowadzania gości, kłaniania się, wykazać jeszcze można czynności, które jedynie na karb wysokiej inteligencyi zaliczyć wypadnie.

Gdy pewnemu choremu orangutanowi puszczono krew, to następnie ilekroć czuł się niezdrowym, biegał i wskazywał żyłę, jakby prosząc, by mu ponownie krwi upuścić (Wundt).

Wypada mi jeszcze zastanowić się, czy u zwierząt istnieją obyczajowe stosunki, i czy w ogóle można mówić o moralności zwierzącej. Pod tym względem zwierzęta, żyjące w dzikim stanie, dostarczają nam pewnych dowodów, gdyż oswojone wprawił człowiek w nienaturalne i mniej obyczajowe życie. Mam tu na myśli sztuczną hodowlę.

Fakt znany, że większość zwierząt prowadzi życie rodzinne, mniej więcej wszystkie towarzyskie, a niektóre jak pszczoły, mrówki i osy życie państwowe, każą na pewne przypuszczać, że u zwierząt istnieją obyczaje. Najwybitniej spotykamy te stosunki u ptaków i u bardzo wielu ssaków. Większość bowiem tych zwierząt żyje w monogamii, wychowując wspólnie potomstwo, wspierając i broniąc się nawzajem, przyczem zachowują wierność małżeńską aż do końca życia. Śmierć jednego z małżonków, jak n. p. u gołębi, rzadko drugi przeżyje. Słoń poddaje się dobrowolnie niewoli, gdy jego towarzyszkę pojmano. Łoś pomimo złej opinii, jakiej w świecie zażywa, jest najwierniejszym i najtkliwszym mężem, oraz najlepszym ojcem.

Przy zawiązywaniu małżeństw powodują się zwierzęta uczuciami sympatyi, i jeżeli ich nie znachodzą, nie łączą się z sobą. Wyjątek pod tym względem stanowią ptaki egzotyczne, jak kogut, indyk, struś, które żyją w poligamii, podobnie jak i ludy Wschodu, mało troszcząc się o samice i potomstwo. W każdym razie małżeństwo zwierzęce uważać można — jak twierdzi Wundt — za pierwowzór małżeństwa ludzkiego, będącego na najniższym szczeblu pożycia obyczajowego.

Oprócz tych własności obyczajowych, okazują zwierzęta samicze wysoko rozwiniętą miłość macierzyńską nietylko do swego potomstwa, lecz nawet do noworodków wrogich im gatunków.

Romanes podaje, iż podłożył kurze, która siedziała na sztucznych jajach, młode, ślepe jeszcze łasice, i które ona z największą pieczołowitością pielęgnowała, chociaż niejednokrotnie z krzykiem opuszczała gniazdo, gdy te dziwne pupilki szukać za wymionkami i ssać ją chciały. Ich piski rozumiała dobrze, gdy przeciwnie łasięta na gdakaniu i kurzem nawoływaniu nic się nie rozumiały. Również podaje tenże o wychowaniu psa przez kocicę, oraz, co jest jeszcze więcej podziwienia godne, o wychowaniu przez kocicę pięciu młodych szczurów, które podłożone jej zostały po zabraniu młodych kociąt. Kocica przedtem w dodatku odznaczała się jako szczególna tępicielka szczurów. Znaną jest także pewna delikatność i wspaniałomyślność u zwierząt, i tak pies n. p. nie gryzie suki, ani też wielki i silny nie rzuca się na szczenię lub małego pieska, chociaż mu nieraz bardzo dokuczają.

Także przyjaźń istnieje nietylko między osobnikami jednego i tego samego gatunku, lecz często bardzo między odmiennemi, n. p. koń przyjaźni się bardzo często z psem, kotem a nawet kurą; pies z koniem, z kurą a nawet czasem ze swoim nieśmiertelnym wrogiem, kotem.

Inne uczucia, jak zazdrość, nienawiść, występują czasem u zwierząt wybitnie, o czem codziennie przekonać się można. Jeżeli bowiem pogłaskamy jednego psa, to drugi z zazdrości szczeka i kąsa głaskanego. Tak samo uczucie smutku a nawet rozpaczy, szczególnie u psów, spostrzegać się daje, n. p. po śmierci lub odjeździe ukochanej osoby.

Z powyższego pobieżnego zestawienia wynika, że zwierzęta oprócz instynktu okazują różne stopnie psychicznego rozwoju, mianowicie, że odbierają wrażenia, odczuwają, oraz że ich zachowanie każe na pewne przypuszczać, iż tworzą się u nich wyobrażenia i pojęcia, jakoteż, że posiadają mowę, której my bliżej nie znamy.

KRONIKA.

Polowania błotne dawno się już rozpoczęły — św. Anna sprowadziła nawet dość dubeltów, jak nas słuchy z niektórych stron dochodzą — ale panowie bracia z pod sztandaru św. Huberta, nie skorzy do pióra, zaniedbują się i nie nadesłali nam dotychczas ani jednego szczegółowego sprawozdania z polowań błotnych. „Łowiec" upomina się przeto o swe prawa, apeluje do swych łaskawych czytelników i prosi o relacye. Komu atrament wysechł, niech go bodaj kroplą wody rozpuści i kilka słów napisze, a swemi spostrzeżeniami i doświadczeniami z resztą drużyny myśliwskiej się podzieli.

Oj, reporterzy! Okrzyk ten wydobył się nam mimowoli z ust, gdyśmy niedawno temu wzięli do rąk numer warszawskiego *Wieku* i odczytali zawartą w nim korespondencyę o pawilonie łowieckim na naszej Wystawie. Oto ustępy z tej korespondencyi: „Widzimy tu pięknie ułożone epizody i sceny, jakie się w lasach odbywają, więc czyhający w gęstwinie góral z palcem na cynglu strzelby, a opodal dzik nie przeczuwający niebezpieczeństwa. Manekin, góral naturalnej wielkości, w odzieniu, posiadającem wszystkie szczegóły ludowego ubrania, a dzik wypchany w swojej własnej skórze (!!), w jak najnaturalniejszej postaci. Scenę tę otacza gęstwina drzew“.

Czy kto ze zwiedzających pawilon łowiecki widział tego „górala“ i tę całą scenę? Czy który z myśliwych zwrócił uwagę na tę nadzwyczajność, że dzik jest „w swojej własnej skórze wypchany?“ „Na środku pawilonu — czytamy dalej — stoi ogromny wkopany cis, posiadający pięćset lat życia; na wierzchołku tego cisu gniazdo, a nad gniazdem wielki drop (!!), osłaniający je skrzydłami, bo u stóp cisa na ziemi przyparty do niego dzik broni się zajadle zgrai psów, które go obsiadły“.

Czyż może bezczelność i nieznajomość przedmiotu dalej się posunąć? A cóż sądzić o inteligencyi Redakcyi, która wierzy — a wierzy, bo przepuszcza — że „drop“, biegus, mieszkaniec niw podolskich, unosi się nad cisem górskim? I że taki piękny pawilon mogli wystawić myśliwi?

Oj, panie korespondencie! Gdyby cię wypchano nie w „twojej własnej skórze“, lecz w skórze długoucha, byłaby to najlepsza za tak wiarygodną korespondencyę zapłata.

Gołębie pocztowe. Dnia 5. b. m. wypuszczono w Przemyślu około dwieście sztuk gołębi pocztowych, będących własnością budapeszteńskiego klubu „Columbia“. Odleciały o godzinie 6-tej rano, lecz z powodu burzy przybyły pierwsze gołębie dopiero o godzinie 5-tej min. 30 po południu na miejsce przeznaczenia. Linia powietrzna między Budapesztem a Przemyślem wynosi 500 kilometrów.

Napad sokołów — ale prawdziwych sokołów, nie gimnastycznych — wydarzył się dnia 15. maja b. r. po południu. Ofiarą napadu był parowiec „Amoy“, płynący z Chin do Hon-Kongu. Statek otoczyła gromada sokołów siwych, które najpierw rzuciły się na jaskółki, znajdujące się na masztach i rejach. Ale wnet lotne rabusie zaczęły być zuchwałymi, przelatywały tam i sam ponad pokładem, wreszcie poczęły szturmować do chlewka, gdzie jedna świnka, sześć królików i trzy gołębie żyły ze sobą w zgodzie. Dla ich obrony musiano aż wziąć za broń, i kapitan zastrzelił cztery sokoły, inne umknęły. Zastrzelone spadły na pokład, a Chińczycy zaraz je zjedli. W dwie godziny powróciły sokoły w większej liczbie, i odważnie poszły do walki, rzucając się nawet na ludzi. Pomocnikowi maszynisty, który ulitowawszy się nad jakimś ptaszkiem, prześladowanym przez sokoły, wziął go do rąk, rzucały się do oczu. Drugiego sternika zranił sokół silnie w lewe ramię. Kapitan strzelał raz po razu, zabił 24 sokołów, a 18 z nich spadło na pokład. O zmroku pomocnik maszynisty miał sposobność zemścić się na sokołach, kiedy bowiem jeden z nich wypoczywał na pokładzie, pomocnik wycelował w niego tak dobrze pantoflem, że zabił go na miejscu. Następnego dnia Chińczycy na statku mieli wielką ucztę, zajadając pieczone sokoły.

Szczupak olbrzym. Traktyernik pewien w mieście Dalhausen nad rzeką Ruhrem złowił niedawno ogromnego szczupaka na metr i 55 cm. długiego a 20 kilogramów ważącego. Do ogona ryby, na miedzianym drucie, przyczepiona była tabliczka metalowa, a na niej wyryty wierszyk następujący: „Rybko ty mała, szczupaczku kochanie, co się też z tobą na drugi rok stanie? Gdy się biedaczku dostaniesz do sieci, niech mnie o tobie wiadomość doleci; a mieszkam w Wetter nad rzeczulką Ruhrem, niech pan twój szuka za Gustawem Schuhrem“. Poniżej wierszyka znajdowała się data: „Wetter nad Ruhrem 1859“. A zatem przez blisko 35 lat udało się szczupakowi ujść wszelkich zasadzek i wyróść z maleńkiej rybki na starego, tęgiego dziaduma, który był postrachem całych młodszych pokoleń, żyjących przez tych kilka dziesiątek lat w Ruhrze. Dziś sędziwy tłuścioch, dźwigający 20 kilogramów mięsa, przekonał się, że wszystko ma swój koniec, że więc i on wreszcie musiał się dostać do sieci.

Z dawnych łowów. P. Stanisław Pepłowski zamieścił w *Gazecie Narodowej* bardzo ładny obrazek o łowach Augusta III. Małe łowy tego króla odbywały się w Bielanach lub Mokotowie, większe w dobrach Radziwiłłowskich lub innych na Litwie. Na wiosnę polował król z upodobaniem na głuszce. Pod tokowiska dojeżdżał na koniu, którego — bo król, jak wiadomo, bardzo był zażywnym — dwaj silni hajducy, idąc obok, strzegli od upadku. W razie pomyślnego wyniku łowów, zdobiły pióra głuszca kapelusze i czapki wszystkich uczestników polowania.

W maju corocznie strzelano do tarczy, w godzinach popołudniowych, na odległość 300 kroków z sztućca królewskiego, nabitego przez dworskiego strzelca, lub z własnej broni. Za każdym strzałem laufer, ubrany w czerwoną kitajkową togę, wybiegał z dołu z poza tarczy i pokazywał numer trafiony, czarno malowany na białej, okrągłej tabliczce. Gdy strzał chybił, obiegał tarczę trzykrotnie. Asystowali przy tej zabawie: nadworny poeta, który niemieckie wiersze układał, zastosowane do okoliczności i błazen królewski, wyprawiający ku pańskiej uciesze przeróżne krotochwile. Po ukończeniem strzelaniu majowem, król celnym strzelcom rozdawał nagrody w złotych medalach lub w sztukach cennej porcelany.

Prócz tego zabawiał się August III., jak wiadomo, strzelaniem do psów z okien zamkowych, którą to zabawę już ks. Kitowicz za „niebardzo przystojną“ uważał.

O jednem z polowań, urządzonem w r. 1759 dla króla przez ks. Hieronima Radziwiłła, przytacza p. Pepłowski następujący opis z pamiętników Marcina Matuszewicza: „Najprzód książę chorąży niektóre zwierza, jakoto: niedźwiedzie, dziki, łosie aż ze Słucka w klatkach sprowadzać kazał; drugie zwierza z Biały i innych dóbr swoich; a że sanna droga puściła, zaczem karami sannemi po błocie, zaprzęgając do jednych kar po kilkanaście koni, prowadzić musiano. Było zatem kilkanaście niedźwiedzi, kilkadziesiąt dzików i świń dzikich, wilków wielka moc, liszek i sarn niezliczona liczba. Dziwno to było wszystkim, a osobliwie cudzoziemcom, że tak wiele zwierza żywego sprowadzono do Warszawy, i gdy wilk jeden z Pragi do bliskiego lasu uciekł, tedy tegoż wilka ludzie książęcia chorążego bez sieci żywego złapali i przyprowadzili. Książę zatem chorąży pod Ujazdowem, nad Wisłą, parkanami nowemi kazał na pół mili, w około rachując, opasać pole, a między parkany posadzić kazał drzewa różnego, osobliwie choiny, ulice piękne z tego porobiwszy. Na środku dla króla salka była zrobiona na dwa piętra, z wierzchu suknem zielonem francuskiem, a ze środka aksamitem zielonym z galonami i frędzlami złotemi obita, z pięknym nakształt kopuły dachem. Wysłana była taż salka pod nogi królewskie samemi pięknemi marmurkami, około zaś salki na ziemi wokoło na kilka sążni były wysłane niedźwiedzie, za parkanami zaś pola, wyżej nad też parkany, były wysokie porobione teatra z ławkami dla widzenia i siedzenia spektatorom. Gdy zatem król z synami i pierwszemi osobami wjechał do tego pięknego ostępu i wszedł na salkę, a drudzy panowie z oszczepami i strzelbami na niedźwiedziach pod salką stanęli, tedy kazał książę dać znak przez otrąbienie się, aby zwierza i psy do forsowania wypuszczali.

Biegał łowczy książęcy, Wolski, pięknie i bogato ubrany, wydając ordynanse, biegali pikierowie z waltorniami. Psy zaczęły zwierza napędzać na salkę królewską, król strzelał do woli, wilcy głodni równo z psami łosie uganiali i pod salką królewską łosia jednego szarpali, które wilki król strzelał. Słowem mówiąc, niewypowiedzianie król się nacieszył. Blizko pięciu godzin to polowanie trwało, wszyscy w niezliczonej liczbie ludzie obojej płci na górze od Ujazdowa stojąc, dziwowali się takiemu porządnemu, pięknemu i nigdzie niewidzianemu polowaniu. Pisano różne wiersze łacińskie i polskie na pochwałę tego polowania, i tak z honorem i sławą książęcia chorążego a z wielkiem króla i wszystkich ukontentowaniem to się polowanie odprawiło“.

Szanownych członków Towarzystwa łowieckiego, którzy za lata poprzednie i tych, którzy za rok bieżący zalegają z wkładkami, uprasza Zarząd Torzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie rachunku, gdyż bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wysyłać im „Łowca“.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.